Dr. Kowalski Edward
Poznań
Daszyńskiego 100 m.6
Szl. 12

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO
KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 12 luty 1950 r. | Nr 6 (220)

TREŚĆ NUMERU: Władysław Żegocki — Druga strona medalu; Czesław Czapów — „Błogosławieni cisi...“; Ryszard Kapuściński — Wiersze; Andrzej Łepkowski — Metafora na cenzurowanym; Prawda z myszką — wyjątki z Monitora Eugeniusz Paukszta — Maryjka; Marek Antoni Wasilewski — Zachód; Jan Dobraczyński — Powieść o wielkim piecu i o nocnej zmianie; Andrzej Łepkowski — Trzy wiersze morskie; Jan Dobraczyński — Strzały za horyzontem; Tydzień kulturalny; Z. Prószyński — Czy rekonstrukcja?; Czytelnik uważa że...

Wojciech Kętrzyński

Francja, kraj misyjny

CZY REFORMA KLUNIACKA XX WIEKU?

W wyniku rocznych przygotowań, w Lisieux, u stóp klasztoru opromienionego blaskiem św. Teresy od Dzieciątka Jezus, odbywają się dwutygodniowe rekolekcje małej grupki młodych księży. Pod opieką kardynała - arcybiskupa Paryża kończą właśnie w religijnym skupieniu przygotowania do pracy duszpasterskiej na przedmieściach Paryża w centrum proletariackiej Francji. Powstaje głośna już dziś „Mission de Paris“. Dzieje się to w sobotę, 15 stycznia 1944 roku.

Na czele tej pionierskiej grupy stoi młody ksiądz, Henryk Godin, działacz społeczny o długoletniej praktyce, autor książki „France, pays de mission“, która dokonała przewrotu na odcinku metod i celów współczesnego apostolatu. Urodzony w roku 1906, ksiądz Godin nie osiągnął jeszcze czterdziestki, gdy dzięki powstaniu „Mision de Paris“, zrealizowały się jego wieloletnie przemyślania, marzenia i wysiłki. Opatrzność otwierała przed nim pole do najszerszej inicjatywy, stwarzała, zdawałoby się niczym nieograniczone, możliwości kapłańskich osiągnięć.

Tak się istotnie wszystkim wydawało tej soboty. Gdy w poniedziałek rano jakiś przygodny interesant zapukał do drzwi małego mieszkanka przy rue Ganneron — ksiądz Godin nie żył. Ulatniający się z mizernego, węglowego piecyka czad zabił go we śnie.

**
*

Postać księdza Godin należy do najciekawszych i najbardziej charakterystycznych sylwetek odradzającego się katolicyzmu francuskiego. Być może, że ujrzymy ją kiedyś wyniesioną na ołtarze. Przypuszczenie to jednak jest zawsze zbyt śmiałe, gdyż sądy ludzkie nie są wystarczające, by móc objąć świętość. Przeciwnie, skłonni jesteśmy utożsamiać cechy wybitne, ale ludzkie z dowodami nadprzyrodzonej łaski, gdy tymczasem nadprzyrodzoność przejawia się z woli Bożej, zarówno u jednostek wybitnych jak i z punktu widzenia kryteriów ludzkich, u najbardziej przeciętnych. Pozostawiając więc na boku te śmiałe hipotezy powiedzmy po prostu, że postać księdza Godin wyraża sobą całą tajemnicę sił i słabości francuskiego katolicyzmu, jest jakby przekrojem całej aktualnej problematyki.

Urodził się w głuchej francuskiej prowincji. Wioska jego liczyła zaledwie stu mieszkańców. Ojciec jego nie był wprawdzie robotnikiem, był woźnym sądowym, żył jednak przez całe życie w ciężkich warunkach materialnych, które pozwoliły dzieciom poznać szybko codzienną rzeczywistość ludu. „Urodziłem się z ludu, pisze o sobie ks. Godin, czyżbym go miał zdradzić! Czyżbym miał stracić to, co mogę po nim odziedziczyć najcenniejszego — sposób życia prosty i ubogi?“

Zagadnienie to stanowiło przedmiot jego wieloletnich przemyśleń. Dał im nawet wyraz w dużej rozprawie: „Deklasacja, religia i kultura ludzka: Próba psychologii społecznej“.

Duchowieństwo francuskie na przełomie XIX i XX wieku żyło w atmosferze podwójnej izolacji. Z jednej strony toczące się od wieku zaciekłe boje między obozem reform społecznych a konserwatystami różnych formacji, którzy jednak wszyscy zgodnie występowali pod sztandarami katolicyzmu, ułatwiały prowadzoną systematycznie antyklerykalną nagonkę, której uległa poważna część mieszczańskiej opinii publicznej. Bywały strony, gdzie ksiądz nie mógł się ukazać na ulicy, nie narażając się nie tylko na złośliwości ulicz-ników, lecz i także na obelgi przechodniów. Z drugiej strony otoczenie się rodzinami „dobrze myślących“ katolików wraz z stosunkowym dobrobytem materialnym, zapewnionym przed I wojną światową duchowieństwu, dzięki pensjom, wypłacanym przez państwo, stworzyło mu warunki burżuazyjnego życia. W okolicach katolickich ksiądz, jak to zauważali sami Francuzi, był raczej kapelanem miejscowego dziedzica niż proboszczem. W okolicach uboższych w chrześcijaństwo ksiądz, z braku zajęcia był wpierw hodowcą kwiatów, graczem czy kolekcjonerem znaczków pocztowych, dopiero wtórnie kapłanem.

Ksiądz Godin chciał być tylko kapłanem, lecz jednocześnie nie chciał zatracać swego społecznego pochodzenia, którym się szczycił. Jeszcze za czasów studiów seminaryjnych zauważył, że dla wielu jego kolegów stan kapłański jest jakby symbolem społecznego awansu, umożliwiającego wyzwolenie się ze środowiska chłopskiego, czy robotniczego ku mniej lub bardziej przyjemnemu, ale bądź co bądź mieszczańskiemu życiu.

Dla księdza Godin ten stan rzeczy nie ma nic wspólnego z awansem społecznym. Przeciwnie — nazywa to deklasacją. Człowiek z ludu bowiem, który porzuca własne środowisko społeczne, by za tę cenę uzyskać prawo do lepszego życia, jego zdaniem zatraca swe istotne wartości. Poprzez te obserwacje ksiądz Godin dochodzi właśnie do najbardziej wstrząsającego odkrycia: katolicyzm francuski jest katolicyzmem społecznie zamkniętym. Jest on niedostępny dla ludzi z ludu, chyba za cenę deklasacji. Po tym już odkrycia idą jedne za drugim: że organizacja życia religijnego przystosowana jest do potrzeb małej w istocie, lecz uprzywilejowanej elity społeczeństwa, że formy apostolatu nie przystosowane są najzupełniej do potrzeb nowoczesnego życia.

Rozpoczyna się gorączkowe, chaotyczne szukanie na własną rękę. Jest kolejno wikarym na przedmieściu Paryża, kapelanem młodzieżowej organizacji w Lille, członkiem kierownictwa J.O.C. i najbliższym współpracownikiem jej „spirytus movens“ księdza Guérin. Nigdzie jednak nie potrafi długo miejsca zagrzać, notatki zostawione przez niego dowodzą ciągłych głębokich wewnętrznych konfliktów.

Dopiero lata wojenne nadały jego pracy zdecydowany i ostateczny kierunek. Zatrzymał się w Paryżu, by na odcinku dzielnicy Północ prowadzić coraz to intensywniejszą aktywność duszpasterską i społeczną. Spod jego pióra wychodzą w tym czasie liczne prace, a na jego biurku gromadzą się coraz to liczniejsze materiały do jego centralnego dzieła „Francja, kraj misji“. Przez wszystkie jego prace, przez całą aktywność społeczną przebijają stale te same dwa zasadnicze wątki: *zerwać z tradycjami mieszczańskimi, uczynić katolicyzm żywy, odpowiadający potrzebom i służący sprawom najszerszych mas*, wyrwać duchowieństwo francuskie ze stanu izolacji w jakiej się znalazło na

(dalszy ciąg na str. 2-giej)

Wytyczne.

Oświadczenie Ministra Wolskiego na zjeździe „Caritasu“, potwierdzające stanowisko, zajęte w oświadczeniu z dnia 20 marca ub. roku, przedstawia wyraźnie zasady, którymi kieruje się i kierować się będzie Rząd Polski Ludowej w polityce w stosunku do Kościoła Katolickiego w Polsce.

Zasady te stwarzają podstawę do uregulowania stosunków pomiędzy Kościołem i Państwem. Podstawa ta sprowadza się do zapewnienia realizacji niezbędnych i aktualnych wymogów racji stanu Polski oraz do poszanowania religijnej niezależności Kościoła.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Rząd domaga się, aby problem ten został wreszcie rozwiązany, zważywszy na szeroką opinię mas katolickich i rzesz duchowieństwa, które widzą niezbędną konieczność uregulowania stosunków pomiędzy Kościołem i Państwem, jak również z uwagi na szereg wydarzeń, które świadczą o wyraźnej akcji elementów wrogich Polsce Ludowej, zmierzających do mącenia stosunków w Kraju, do rozniecania jak największej ilości konfliktów.

Episkopat, reprezentujący Kościół w Polsce, nie może nie doceniać konieczności pozytywnego rozwiązania problemu stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem, jak również nie może uchylić się od wyraźnego uznania postulatów racji stanu współczesnej Polski. Problem ten trzeba wyraźnie oddzielić od zagadnień doktrynalnych. Oczywiście nikt rozsądny nie może domagać się od Kościoła, czy od Rządu uznania wzajemnych odrębności doktrynalnych.

Nasz zespół od początku swej działalności uświadamia sobie tak jak żadne inne środowisko, olbrzymią wagę problemu uregulowania stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem. Zespół nasz nie tylko to uświadamia sobie, nie tylko przeżywa to najgłębiej, lecz w miarę swych możliwości stara się najusilniej dopomóc do rozwiązania tego problemu.

Na temat problemu Kościół i Państwo, pisaliśmy wiele na łamach naszego pisma. Byłoby trudno w tej wypowiedzi powtarzać dokonane przez nas sformułowania, toteż ograniczamy się tylko do tych momentów, które uważamy za najbardziej aktualne.

Szerokie koła katolików w Polsce dają wyraz swemu głębokiemu pragnieniu, aby ostateczne uregulowanie stosunków między Kościołem i Państwem nastąpiło jak najszybciej.

Wymaga tego bezwzględnie konieczność historyczna.

skutek błędów poprzednich pokoleń.

***

Gdyby ksiądz Godin był w tym czasie we Francji choćby najgenialniejszym, ale jednak wyjątkiem, nie dokonałby swego dzieła. Fakt, że w ciągu dosłownie paru lat ten zupełnie młody ksiądz, wyświęcony dopiero w 1933 roku, a poważnie skupiony wokół swego dzieła potrafił do roku 1944 wybudować zręby nowej organizacji apostolstwa, jest sam w sobie znamienny. W Kościele nic się nie dzieje szybko i wpływ jednostki na zewnętrzny tok Jego życia jest zawsze hamowany odwiecznymi zwyczajami. Jeśli rola księdza Godin okazała się pod pewnymi względami decydująca, to stało się dzięki temu, że na wielu innych odcinkach jeszcze w okresie przedwojennym zaczęły brać górę reformatorskie i rewolucyjne tendencje.

Francja zawdzięcza ten zryw odrodzeńczy w pierwszym rzędzie niesłychanie energicznej akcji zakonu Dominikanów. To co zostało dokonane zarówno w zakresie filozofii, teologii, jak i w zakresie wychowywania zarówno duchowieństwa, jak i działaczy świeckich jest na tym odcinku naprawdę imponujące. Na tych odcinkach wyróżniają się specjalnie nazwiska O. O. Garrigou - Lagrange, Sertillange, Congar. Wielki ruch tomistyczny współczesnej Francji jest w walnej mierze zasługą Dominikanów. Najodważniejsze pisma albo były wręcz wydawane przez Dominikanów, jak np. „Vie Intellectuelle", „Vie Spirituelle", czy przedwojenne „Sept" lub też przez nich poważnie inspirowane, jak: „Temps Présents", „Temoignage Chrétien". Dominikanie dali pierwowzór nowoczesnej pracy duszpasterskiej wśród robotników portowych Marsylii, rybaków Bretanii, czy wśród tkaczy Lionu. Dziś w dalszym ciągu instytucje „postępowe", jak „Jeunesse de l'Eglise", „Economie et Humanisme" znajdują się pod kierownictwem Dominikanów.

Mogłoby być rzeczą pociągającą dla historyka dokonać porównania między dziełem benedyktyńskiej reformy kluniackiej z X wieku, a zapoczątkowanym dziełem odnowy przez Dominikanów w wieku XX.

Jeśli jednak wówczas dzieło reformy odnosiło się do duchowieństwa żyjącego w otoczeniu nadmiernej ilości dóbr doczesnych, to dzieło XX wieku odnosiło się do duchowieństwa wprawdzie ulegającego w dużej mierze ideałom mieszczańskim, lecz w warunkach Europy powojennej, żyjącego nieraz w prawdziwej nędzy. Warunki te wraz z postępującą dechrystianizacją Francji spowodowały, że rok rocznie brak księży powiększał się o około czterysta osób, zaś przeszło jedna trzecia stanu księży przekraczała wiek lat sześćdziesięciu. Toteż braki na odcinku tak ilości, jak i jakości pracy duszpasterskiej dawały się jak najpoważniej we znaki. Obejmując swoją archidiecezję kardynał Suhard stwierdzał, że na pięć milionów parafian — cztery miliony nie były objęte normalną pracą duszpasterską parafialną z braku kapłanów.

Wiele energii zostało włożonej w poznanie warunków, w których żyją i trudności jakie mają księża francuscy do przezwyciężenia. Niesłychanie dużo zostało zrobione by wyrwać księży ze stanu izolacji socjalnej a społeczeństwo katolickie z postawy kompletnej obojętności o losy swego duchowieństwa. Począwszy od poważnych rozpraw naukowych Gabriela Le Bras czy księdza Boulard, poprzez szeroką akcję ankietową, liczne artykuły publicystyczne, przeznaczone dla świeckich, kończąc na przedśmiertnym liście pasterskim ówczesnego arcybiskupa Paryża „O księdzu w społeczeństwie" — oto rozmiary dokonanego dzieła intelektualnego. Obok tego rozwija się praca nad przekształceniem metod pracy, udoskonalaniem metod wychowawczych w seminariach, stworzenie seminarium misyjnego w Lisieux.

Dziś jednak można już stwierdzić poważne przemiany jakie zaszły w mentalności i w działaniach młodego duchowieństwa i widać jak bardzo wpłynęły one ożywczo nie tylko na dynamizm życia religijnego, lecz również i na pogłębienie się wpływu katolicyzmu na całokształt życia francuskiego.

***

Ksiądz Godin był ze swej natury działaczem-społecznikiem. Apostolat swój rozumiał on najzupełniej równolegle ze swym powołaniem społecznym. Automatycznie burzył on zastane formy działalności duszpasterskoparafialnej lansując wzamian lotne formy działania małych jednostek misyjnych. Zasadą jego było, by zaczyn chrześcijaństwa znalazł się i rozwijał w każdej żywotnej komórce nowoczesnego społeczeństwa, zarówno w rodzinie jak i w ośrodku pracy, wypoczynku czy nauki. Najzupełniej trafnie dostrzegł on, że parafia skupiająca mechanicznie chrześcijan, zamieszkujących daną jednostkę terytorialną jest dziś socjologicznym nonsensem.

Jako urodzony społecznik, jako „syn ludu" jak sam się określał, Ks. Godin zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że najdoskonalsze nawet metody działania zawiodą, gdy duch tej prawdy będzie społecznie wsteczny. Zaczyn chrześcijaństwa musi być świeży. Przenikanie komórek społecznych pracą misyjną celowe i możliwe jest tylko wówczas — gdy wnosząc tam Chrystusa — nie ciągnie się za sobą balastu politycznej reakcyjności. Stąd też stały nacisk na postępową postawę społeczną katolickich działaczy tak świeckich jak i duchownych.

W epoce tak wielkich kontrastów społecznych i tak dotkliwych konfliktów uniwersalizm chrześcijański wymaga umiejętności dostosowania się do potrzeb środowiska w tej samej mierze w jakiej przystosowuje się go do rozlicznych kultur narodowych. Życie religijne musi wypływać z naturalnych potrzeb człowieka i harmonizować z całokształtem jego doczesnej działalności, stąd więc tendencja by grupować nowocześnie pojęte „gminy" chrześcijańskie na zasadzie naturalnej współloty środowiskowej, zawodowej a nie tylko geograficznej.

„Nowa parafia jest w istocie parafią działania — pisze w odpowiedzi na ankietę jeden z księży francuskich. Nie jest już gminą chrześcijańską w dawnym tego słowa znaczeniu, to znaczy jednolitym zwartym blokiem praktykujących, manifestujących swą postawę przez zewnętrzne i efektowne ceremonie. Jest społecznością „lekką", utworzoną przez zjednoczenie naturalnych ośrodków życia katolickiego. Jest zbiorem tych, którzy wyznają wspólnie jedną wiarę, jedną nadzieję i jedną miłość, którzy się czują wyznawcami Boga w tym świecie... W nowej parafii zadaniem chrześcijan jest być obecnymi ze wszystkimi swymi ludzkimi i doczesnymi zajęciami, by do nich wnosić ducha i światło Chrystusowe".

Jeśli tak pojęta forma apostołatu umożliwian iewątpliwie Kościołowi żywszy kontakt i żywszą penetrację w nowoczesne życie, to jednak i na odwrót otwiera przed katolicyzmem nową olbrzymią problematykę. Sam fakt uznania celowości grupowania chrześcijan w oparciu o ich naturalne środowiska społeczne zmusza do rewizji wielu dotychczasowych pojęć społecznych. Nic też dziwnego, że młode duchowieństwo francuskie tak łatwo radykalizuje się społecznie przez sam kontakt z rzeczywistością pojmowaną odtąd w sposób nieabstrakcyjny.

Z kolei rzeczy przemiany te odbijają się nawet i na liturgii, która pod wpływem tych oddolnych bodźców socjologicznych wyłamuje się ze swych form dotychczasowych, widocz-

(dokończenie na str. 7-mej)

Władysław Żegocki

DRUGA STRONA MEDALU

W jednym z ostatnich numerów „Odrodzenia" (2—267), ukazał się artykuł p. Zygmunta Kałużyńskiego, „Mjnistranci Kosmopolitycznej Literatury", atakujący w czambuł całą współczesną twórczość katolicką we Francji. Zdaniem p. Kałużyńskiego — katoliccy pisarze francuscy są niczym więcej jak tylko wiernymi popleczn.kami kapitalistyczno-burżuazyjnej kultury, służąc świadomie i czynnie sprawie zwycięstwa reakcyjnego i imperialistycznego mieszczaństwa nad proletariatem. Czołowymi wyrazicielami tej wstecznej ideologii są zdaniem p. Kałużyńskiego — Claudel, Maritain i Mauriac. Redakcja „Odrodzenia" dorzuca do nich jeszcze nazwisko redaktora „Esprit" Mounier, oskarżonego o dopuszczenie na łamy swego pisma wypowiedzi niekatolickich pisarzy, chwalących reżim titowski w Jugosławii.

Bezpośrednia polemika z tezami p. Kałużyńskiego jest w istocie niemożliwa. Krytykę swą opiera on wyłącznie na argumentacji natury politycznej. Każdy zaś może mieć własne sądy polityczne i widzieć cały świat w ich odbiciu.

Zresztą nie zamierzamy zaprzeczać istotnych powiązań między poszczególnymi wymienionymi pisarzami a światem mieszczańskim. Nie mniej wydaje się, jednak, że p. Kałużyński nie dochował kardynalnego obowiązku uczciwości.

W imię uczciwej prawdy trzeba więc o każdym z zaatakowanych pisarzy dorzucić parę charakterystycznych „szczegółów".

MOUNIER: Jest cechą charakterystyczną wydawanego przez niego miesięcznika „Esprit", że otwiera swe łamy w dyskusjach szerokiemu wachlarzowi poglądów w imię zasady „audiatur et altera pars". Tak więc, na łamach „Esprit" wygłaszali swe poglądy zarówno przedstawiciele prawicy, jak i komuniści. Jeśli w sprawie Jugosławii wypowiadali się m. in. zdeklarowani prawicowcy, to obok nich, w sprawie Czechosłowacji zabierał głos, w obronie istniejącego stanu rzeczy ten sam ks. Boulier, którego nazwisko przeciwstawia „Odrodzenie" — Mounierowi.

W styczniowym zaś numerze „Esprit" — tenże sam Mounier występuje z odważnym protestem przeciw zastosowanym przeciw Polakom represjom i wysiedleniom, a konkretnie i po imieniu — w obronie p. Nicolas i konsula Szczerbińskiego. Nazywa to „aktami obłędu". „To w dziedzinie kiełkującego teroryzmu, pisze on, należy umieścić ostatni incydent francusko-polski".

Krótko mówiąc — niezależnie od pewnej chwiejności linii redakcyjnej „Esprit", mogącej stanowić przedmiot krytyki — to pismo, dzięki wybitnej indywidualności i postępowym poglądom Emanuela Mounier jest i pozostaje wyrazem wysokiej klasy uczciwości myślenia. Jest niewątpliwie najodważniejszym, najbardziej uczciwym i najbardziej rzetelnie ustosunkowanym do sprawy walki nas pragnących o swe prawa — organem obozu chrześcijańskiego we Francji.

MARITAIN: Trudno ze słów autora zrozumieć na czym opiera się jego zarzut, iż filozofia Maritaina służy sprawie burżuazji i reakcji. Jedno jest pewne, że p. Kałużyński dzieł Maritaina nie rozumie, bo nie wkładałby w jego usta takiego frazesu: „intelektualizm i wysiłek umysłowy odgrywają w zbliżeniu do Boga rolę nie mniejszą niż łaska i wiara". To są z punktu widzenia katolickiego, krótko mówiąc — brednie. Fakt natomiast, że Maritain głosi zasadę nadrzędności katolicyzmu „porządkującego" doczesne idee społeczne, a nie zwalczającego je, fakt zresztą podkreślany przez niego najzupełniej słusznie, w niczym nie podpiera tezy autora — że filozof ten reprezentuje „obojętność katolików", jako wyraz jednej z postaw intelektualnych burżuazji.

Zapytujemy przeto, czy dowodem „obojętności" społecznej maritainowskiej filozofii jest następujący sąd wygłoszony przez Maritaina i nigdy nie odwołany: „komuniści i katolicy, mimo przeciwności ich doktryn, mogą współpracować w dziele doczesnym politycznym i społecznym. Każdy pojmuje je na swój sposób, lecz posiadają one wiele podobieństw na odcinku konkretnych realizacji...".

Roger Garaudy, głośny pisarz komunistyczny, którego trudno posądzać o pobłażliwość dla popleczników burżuazji tak pisze o Maritainie — „jeden z tych skrupulatnie uczciwych chrześcijan, którzy są świadomi straszliwego nieporozumienia, które wiąże ich święte przekonania z ustrojem społecznym dla nich n i e d o p r z y j ę c i a, i z walką przeciwrobotniczą, na którą się n i e z g a d z a j ą".

Wydaje się, że p. Kałużyński chciał być „plus catholique que le pape" jeśli wolno zaryzykować tę metaforę.

MAURIAC: tu ogólnie zgadzamy się niewątpliwie. Mauriac należy tak swymi poglądami, wyrażanymi na łamach „Figaro", jak i swą twórczością powieściopisarską do burżuazji francuskiej. O czym jednak p. Kałużyński nie wspomniał — to o tym, co Mauriac'a w tym obozie wybitnie wyróżnia. To postać tragiczna, która nie potrafiąc się wydobyć ze świata, którego nicość moralną widzi, próbuje mimo wszystko wskrzesić jego dawno skamieniałe sumienie. Tenże Mauriac, zwolennik „trzeciego faszyzmu" ponoć — należał do tych nielicznych ze świata mieszczańskiego, którzy najkategoryczniej potępiali zbrodnie hiszpańskich frankistów podczas i po wojnie domowej. Tenże Mauriac występuje w roku 1949 z apelem o życie hiszpańskiego syndykalisty, Marios Nadala, skazanego na śmierć przez sądy gen. Franco. Tenże Mauriac potępia zbrodnie monarchistów greckich, odsłania światu okropności obozu koncentracyjnego na wyspie Macronissos. Aż dziwne, że w surowej charakterystyce ideowej sylwetki Mauriaca głucho o tym, co stanowi jego cechę najistotniejszą — że jest on wrogiem lewicy, lecz wrogiem uczciwym, ma czyste ręce.

CLAUDEL wreszcie: omawianych autorów umieściliśmy w tej kolejności, w jakiej oceniamy ich ideową postawę. Mounier jest nam niewątpliwie najbliższy, Claudel najdalszy. Claudel jest zdeklarowanym konserwatystą. Claudel jest członkiem władz naczelnych „Rassemblement" de Gaulle'a Można by niemal powiedzieć, że zdeklarował się po stronie faszyzmu, gdy by nie to, że jego przeszłość, jego stosunek do Vichy w niczym takiej postawy nie potwierdzają. Dla nas jednak przede wszystkim Claudel jest dziś starcem, człowiekiem przeszłości, którego rola polityczna aktywna, jest żadna, choć autorytet jego nazwiska został złączony ze sprawą, naszym zdaniem najzupełniej szkodliwą. To zasługuje też na bezwzględne potępienie.

Pozostaje ocena jego twórczości literackiej. Istnieje poważna obawa, że p. Kałużyński błądzi poważnie dostrzegając się w „Soulier de Satin", czy w innych claudelowskich dramatach — wątku historyczno-społecznego. Najbardziej powierzchowna znajomość twórczości Claudela każe stwierdzić, iż był on całe życie s y m b o l i s t ą, że wszelkie jego sztuki dzieją się w świecie najzupełniej umownym, że cała jego uwaga skoncentrowana jest na postaciach i przeżyciach swych bohaterów Zresztą inscenizacja „Soulier de Satin" w Comédie Francaise tę nierealność charakterystycznie podkreśla Wolno p. Kałużyńskiemu krytykować symbolizm Claudela, nie będziemy mu mieli tego za złe, bo i sami się taką literaturą nie zachwycamy, ale nie należy wmawiać autorowi tego, czego powiedzieć nie chciał

To co katolicy w Claudelu cenią najbardziej to zresztą nie dramaty Najpiękniejszą i najbardziej wartościową częścią jego twórczości są z punktu widzenia katolickiego utwory poetyckie, jak „La messe là-bas" czy „Feuilles de sonets", essaye i rozważnia o charakterze para-liturgicznym — „Corona benignitatis anni Dei" „Un poete regarde la Croix" — czy też „L'Annonce faite à Marie", oto istotne dla nas pozycje, które zresztą w świecie katolickim większą odgrywają rolę niż „Soulier de Satin".

Zamykając ten, z konieczności lakonicznie sformułowany, komentarz do wystąpienia p. Kałużyńskiego — warto by jeszcze przypomnieć, że przecież poza wymienionymi tu pisarzami istnieje jeszcze we Francji wielu innych katolickich twórców, nie mniej charakterystycznie, a bardziej postępowo reprezentujących od strony katolickiej tamtejszą kulturę — van der Meersch o wybitnie społecznej problematyce. Luc Estang, Simone Weil — Żydówka-konwertytka o wybitnie lewicowych przekonaniach, której książka „La pesanteur et la grâce" wstrząsnęła Francją, by tylko wymienić parę głośniejszych nazwisk.

Nie, niestety dla p. Kałużyńskiego, katolicka twórczość literacka współczesnej Francji nie mieści się w ciasnych ramach mieszczańskiego kosmopolityzmu. Obraz narysowany przez niego jest tendencyjny i przeto fałszywy.

Władysław Żegocki

Czesław Czapów

„BŁOGOSŁAWIENI CISI...“

Mimo, iż wykazywanie nadprzyrodzonej i społecznej doniosłości pokory jest najważniejszym „zamówieniem społecznym“ o pokorze pisze się mało i źle. Inwentarz pojęć jakim się operuje w tej dziedzinie wychowania moralnego nie odpowiada mentalności współczesnego człowieka; zakres zaś pracy wychowawczej i teoretycznej w zupełności nie odpowiada zakresowi ignorancji. Dla ogromnej **większości** ludzi słowo: pokora jest przecież ciągle niezrozumiałym straszakiem, jakąś wycią gniętą z lamusa średniowieczną bronią średniowiecznego Kościoła a nie drogą ku mądrości i wiedzy.

Ta ignorancja zmusza do elementarnych wyjaśnień. Otóż pokora nie ma nic wspólnego z poddańczą uległością, jest natomiast nierozłączna z miłością. Dzięki pokorze bowiem nie tylko — mimo własnych kompleksów i zahamowań psychicznych — widzimy rzeczywistość, ale i potrafimy kochać w niej to, co kochać istotnie warto; a kochać to znaczy przecież zapomnać o sobie, żyć, pracować dla przedmiotu swej miłości. Szukając uczciwie warunków rozwoju takiej miłości przekonujemy się nieuchronnie, że warunkiem zasadniczym jest owa złożona dyspozycja psychiczna, którą określamy mianem pokory. Na dyspozycję tą składa się: tendencja do prawdziwego określania własnych możliwości i własnego miejsca w świecie, poczucie własnej niewystarczalności do realizowania zadań życiowych oraz tendencja do przeżywania otaczającej człowieka duchowej i materialnej rzeczywistości jako faktycznego źródła siły, źródła celów i szczęścia.

Aby być człowiekiem konsekwentnym, istotnie a nie powierzchownie, twórczo a nie statycznie przeżywającym swój światopogląd, nie wystarczy mieć w intelekturalnym widzeniu jakąś hierarchię wartości; trzeba umieć ją stosować. Wychodząc z założenia, iż cnota to nie tylko wiedza, napisać należy, aby być pokornym trzeba mieć i wolę pokorną, tj. wolę usuwającą konsekwentnie i stale nasze łatwe zadowolenie z siebie opierające się na przekonaniu, że nasza własna osoba jest jedynym źródłem słusznych, twórczych czy tylko efektownych poczynań. Dopiero taka wola, ustawiając człowieka na właściwym dlań miejscu, czyni go człowiekiem pokornym, czyni go człowiekiem mądrym i świętym.

Jeżeli powiemy, że pokora jest warunkiem katolickiej świętości na pewno nie napotkamy na sprzeciw. Jeśli natomiast stwierdzimy kategorycznie, że pokora jest warunkiem skuteczności polityki społecznie postępowej prawie na pewno wzbudzimy zdumienie.

Spróbuję uczynić je nieco choćby mniejsze i nieco choćby mniej powszechne. Przy okazji wyrażę nadzieję, że nie raz jeszcze sprawa pokory zjawi się na łamach współczesnego polskiego piśmiennictwa.

Dla uniknięcia nieporozumień sprecyzuję na wstępie, bardzo zresztą ogólnie, co mam na myśli pisząc słowa' **polityka społecznie postępowa.** Polityką taką jest według mnie każda skuteczna, zespołowa praca, zmierzająca do takiego urządzenia świata, aby każdy człowiek mógł zaspokoić swoje potrzeby materialno - gospodarcze, a to po to, by móc czynnie lub biernie uczestniczyć w tzw. kulturze duchowej, której specyficzność polega na stale wzbogacającym i wzbogacającym się dynamiźmie. Potrzebne jest w tym miejscu ważkie wyjaśnienie. Aby tzw. kultura duchowa była takim stale wzbogacającym i wzbogacającym się procesem musi być ona kulturą społeczną i autonomiczną. Rozwijająca się kultura duchowa jest bowiem dla polityki społecznie postępowej natchnieniem, a nie narzędziem. (Patrz art. Jerzego Turowicza: Kultura i polityka. Tyg. Pow. nr 3/201).

Wszystko, co napisałem o pracy społeczno-politycznej można sformułować i tak społecznie postępowa polityka to skuteczna działalność, której celem jest ofiarowanie Ziemi w posiadanie każdemu człowiekowi; posiadanie zaś Ziemi wyraża się nie tylko biologicznym istnieniem dzięki jej bogactwom, ale i przeżyciem tego istnienia w aktywności swobodnych poszukiwań.

Oczywiście nie ma i nie było polityki, która by sprostała tak naszkicowaniu kryterium. Społecznie postępowa polityka, którą tu przedstawiłem jest raczej ideałem do którego różne działalności społeczno - polityczne tylko mniej lub więcej się zbliżają. Niemniej jednak ideał ten pozwala na wyszukanie warunków realizacji celów do których ta polityka zmierza, a o to chodzi mi w tych rozważaniach przede wszystkim.

Dla pracy społeczno - politycznej sprawa pokory jest dlatego sprawą **podstawową, ponieważ** właśnie upowszechnienie pokory wśród społeczeństwa, a przede wszystkim wśród jego społecznych działaczy i społecznych teoretyków, decyduje o skutecznej teorii i skutecznej praktyce. Albowiem zarówno teoretycy jak i praktycy wtedy tylko są właściwymi realizatorami polityki społecznie postępowej kiedy cechuje ich swoista zdolność do społecznej służby, powstająca jedynie w atmosferze pokory.

Ze stanowiska postępu w społecznej organizacji produkcji i konsumpcji zdolność do społecznej służby wyraża się świadomym przyśpieszaniem koniecznych procesów gospodarczych, społecznych, politycznych; ze stanowiska historii pochodu ludzkości do Boga wielkość tą manifestuje nadawanie owym procesom najwłaściwszych wychowawczo form, ich humanizowanie i uświęcanie. O ludziach obdarzonych taką zdolnością powiedzieć można, używając terminu Carlyle'a, że są oni inicjatorami; społeczne potrzeby widzą lepiej niż inni i pragną mocniej niż inni ich realizacji.

Warunkiem takiej intensywności poznawania i chcenia w dziedzinie społecznej pracy jest dyspozycja do rozstrzygania konfliktów między własnymi, osobistymi pragnieniami a interesem społecznym na korzyść tego ostatniego. Jest to najistotniejsza cecha postawy **wielkości moralnej,** o której pisze Plechanow: „W moralnym sensie wielkim jest każdy, kto według słów ewangelii oddaje duszę za przyjacioły swe“. (Jerzy Plechanow. O roli jednostki w historii. „Książka“ Warszawa r. 1947, str. 58).

Wielkość moralną rodzi zawsze i tylko **miłość;** miłość zaś trwa i rozwija się przede wszystkim dzięki pokorze. Stąd właśnie problem pokory jest problemem tak zasadniczej wagi dla każdego społecznego działacza.

Związek miłości i pokory jest związkiem jak najbardziej ścisłym. Ujrzymy go jaśniej w świetle pobieżnej choćby analizy tej najpełniej uspołeczniającej czynności, jaką jest miłość.

Łącząc to, co w ludzkich osobowościach tak bardzo osobiste, dogłębne, we wspólny stop, miłość jest właściwie zawsze inna zależnie od tego, kto ją przeżywa. Ale choć jest ona zawsze inna i, jako ostatecznie szczegółowa i prosta, zawsze „niewypowiedzialna“, to jednak podstawowe funkcje osobowościowe miłości są zawsze takie same niezależnie od przedmiotu miłości i od miłującego.

Szukając istotnych osobowościowych funkcji miłości odrzucimy twierdzenie, że miłość jest uczuciem, choć oczywiście uczucia zawsze jej towarzyszą. Nie zgodzimy się też z porównaniem miłości do jakiegoś przyciągania przypominającego zjawiska z zakresu fizyki. Wypowiedź św. Tomasza z Akwinu, określająca miłość jako akt woli spontanicznie lub rozumowo umotywowany, polegający na dążeniu do pewnego dobra, wydaje mi się najbliższą prawdy. Takie czy inne dobro, do którego dąży miłujący, ma usunąć **świadomość braku,** którą przede wszystkim dostrzegamy w psychice każdego miłującego, a która czyni miłość podobną do głodu czy pragnienia. Śledząc przeżycia i zachowanie się osób miłujących, aby odnaleźć istotne funkcje miłości, niewątpliwie dojdziemy do przekonania, że „miłość jest to czynność społeczna, przez którą człowiek pragnie osobą drugiego człowieka (grupą lub jakimś przedmiotem zastępczym) usunąć swoje wątpienie, swój strach, swój brak, dając w zamian całą swoją pewność, swoją jaźń, swoje posiadanie“. (Ks. Fr. Mirek. Zarys socjologii. Tow. Naukowe KUL. Lublin r. 1948, str. 430).

Miłość nie zawsze jednak sprowadza skutek, do którego zmierza. Dzieje się to wtedy, gdy człowiek nie potrafi ofiarować całej swojej pewności, swojej jaźni i swego posiadania, gdy inaczej mówiąc człowiek nie potrafi być pokorny. Z chwilą, gdy zapala się w nas iskra miłości, nie obca żadnemu człowiekowi, rodzi się w nas pokora, bo „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest; miłość nie zazdrości, złości nie wyrządza, nie nadyma się; zaszczytów nie pragnie, nie szuka swego, gniewem się nie unosi, nie myśli złego; nie raduje się z nieprawości, ale weseli się z prawdy“. (1 Kor. 13, 4 — 6). Ale dalsze dzieje miłości są zależne od tego, czy potrafimy codziennym, upartym czynem tę pokorę utwierdzać, czy też zatracimy ją lękając się trudu. Wówczas miłość przestanie być miłością, przestanie usuwać nasze wątpienie, nasz strach, nasz brak, a stanie się nową formą naszego egoizmu, naszego egocentryzmu, naszej pychy.

Sądzę, iż charakter związku między pokorą a miłością usprawiedliwia całkowicie kategoryczność stwierdzeń o podstawowym znaczeniu pokory dla polityki społecznie postępowej jakie zamieściłem na początku tych rozważań. Zrozumienie tego znaczenia stanie się jeszcze lepsze, kiedy uświadomimy sobie, że społeczna działalność pozbawiona pokory jest szczególnie pomyślnym klimatem dla pychy.

Człowieka pysznego znamy wszyscy. Nie ma w nim poczucia własnej niewystarczalności, gdyż nie jest on zdolny do tragicznego a płodnego przeżywania problematyki własnej słabości, jako przepaści między ideałami a ich realizacją. Swoją osobę stawiając za najważniejsze źródło poznania w zakresie środków i w zakresie celów, zajmuje on pozycję utopijną, pozycję „mocarza“ odciętego od źródeł prawdziwej mocy, pozycję błazna. Człowiek pyszny jest egocentrykiem, egoistą i głupcem; a głupcem dlatego, że nie umie, bo nie chce umieć, realizować wspólny z człowiekiem pokornym cel: przebóstwienie siebie samego. Pragnienie realizacji tego celu jest ze stanowiska humanizmu pragnieniem jak najbardziej sensownym, indywidualnie i społecznie pozytywnym; z gruntu fałszywe jest tylko założenie samowystarczalności, założenie tkwiące u podstaw pychy.

Epidemia pychy była zawsze udziałem ludzkości.

Pokora jest dzieckiem katolicyzmu. Jest ona przeogromnym skarbem Kościoła Bożego, skarbem stale wzbogacanym, dzięki Dogmatom, Sakramentom i Świętym. Kto katolicyzm zna i kto go przeżywa, ten wie, że właśnie pokora, twórczy stosunek człowieka do Boga, do Prawdy, który utwierdził wśród ludzi Najpokorniejszy z nich — Jezus, leży u podstaw poznawania Woli Bożej, leży u podstaw mądrości — źródła prawdziwej koncepcji celu życia. Kto katolicyzm zna i kto go przeżywa, ten wie, że gdy wiedzę daje nam nauka, mądrość zdobywa się drogą wewnętrznej walki z własnymi namiętnościami, słabościami i upadkami a przede wszystkim z pychą w imię miłości do tego co żywe, rozwijające się a twórcze.

Walka z pychą to walka na ogół najtrudniejsza, a afirmacja pychy to grzech dla katolika chyba najgroźniejszy. W całej Ewangelii nie znajdujemy słów tak mocnych i bezlitosnych, jak te, które padły z ust Chrystusa przeciwko faryzeuszom. Grzech przeciw Duchowi Świętemu, który nie będzie odpuszczony ani w tym, ani w przyszłym życiu, kazał Chrystusowi nazwać ludzi typu faryzeuszy „plemieniem jaszczurczym“, „pobielanymi grobami“, jako tych, którzy nie dostąpią miłosierdzia, ponieważ go nie oczekują i ponieważ nie odczuwają jego potrzeby.

W swoich „wyznaniach“ św. Augustyn ukazuje dwie typowe drogi, prowadzące ku grzechowi przeciw Duchowi Świętemu, grzechowi pychy: drogę syntonii i drogę autyzmu.

(dokończenie na str. 4-tej).

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Marzenia naiwne

A kiedy odnajdziemy na polu pod lasem.
Dom, który samotnie na łące się pasie,

Wtedy noc obudzimy wejdziemy do wnętrza
I gwiazdy wyrzucimy co się w kącie piętrzą

A ściany nam powtórzą swą rozmowę z wiatrem
I plamę księżycową na podłodze zatrę.

Popatrzymy na komin, który mrok chce złapać
Na niebo tak puszyste jak łowicka kapa.

Na dach, co grzbiet swój w gwarze liści płuka
i do świtu będziemy swoich spojrzeń szukać.

Słońce w szyby zadzwoni i stopi się całe
My dłoniie pokochamy, które dom stawiały.

Pora zmierzchu

Szelest liści — jak niepokój
rozsypał się w porze zmierzchu.
Godziny przysiadły na stoku
oczekiwania. I wiatr pierzchał.

Szły stawiać z cieni szańce,
milczeniem niebo mościć,
robaczki świętojańskie —
przecinki długiej ciemności.

Obrazy

Pamięci Jerzego Lieberta

Chmury obrzękłe bólem i bielą — jak pościel,
Pełzają po dachach, przystają na moście.

I z uwiędłej oddali czasem tryśnie słońce,
które zetnie powieki swoim rdzawym końcem

Kąty powypełniała niepewnością pustka
Na ciele odciśnięte termometrem usta.

A w dole, blisko muru, uliczka się skrada
W oczy wsiąka czas dziwny. Jeszcze go nie zbadasz.

Tylko wątła dłoń zmierzchu stogiem nocy zatarga
Tylko cisza zakrzepnie na milczących już wargach.

(dokończenie ze str. 3-ciej.)

Mówiąc o niebezpieczeństwach moralnych związanych z pracą społeczną biskup z Hippony, opierając się na własnych doświadczeniach, opowiada, iż pycha człowieka syci się nawet twórczym ze stanowiska postulatów Bożych miłowaniem i takimż lękkiem ludzi którzy go otaczają. Jest tak wówczas, gdy nasze mądre poczynania społeczne są przez nas głupio wykorzystywane, gdy, jak powiada święty Biskup „nie dzieje się to (co czynimy) dla Ciebie, ale zamiast Ciebie". (Św. Augustyn. Wyznania, tłum. ks. prof. J. Czuj. Księgarnia Krakowska. Kraków, str. 299).

Takie postawienie sprawy oparte jest, według św. Augustyna, na oczywistym absurdzie. Cieszymy się przecież wówczas więcej pochwałą ludzką, a więc darem człowieka, niż źródłem naszych twórczych poczynań, pojętym jako dar Boga-Twórcy, zubażając w ten sposób niesłychanie własne życie emocjonalne i intelektualne.

Inną, ale prowadzącą do podobnych błędów jest droga autyzmu. Człowiek, który nią kroczy, lekceważy pochwały, sławy nie potrzebuje; odgrodzony od społecznych potrzeb swego czasu własną osobę ubóstwia przede wszystkim, o sobie przeważnie myśli, sobą przeważnie się cieszy. Prowadzi to ku grzechowi przeciw Duchowi Świętemu, gdyż, jak pisze św. Augustyn „mający upodobanie w sobie, Tobie się bardzo nie podobają, nie tylko kiedy biorą za dobre to, co nie jest dobre, ale także, gdy dobra Twoje uważają za swoje, albo gdy dobra te uważają za Twoje, lecz przypisują je swoim zasługom, lub wreszcie, gdy je uważają za dary Twej łaski, jednakowoż nie cieszą się z nich społecznie, ale zazdroszczą ich innym". (Tamże, str. 303).

Analizując własne stany psychiczne, które prowadzą do błędu pychy widzimy w nich przede wszystkim **niecierpliwe i nieufne** dążenie do zaspokojenia swego braku, usunięcia swego wątpienia i strachu. To niecierpliwe i nieufne dążenie nie pozwala nam często czekać na radość kontaktu z prawdziwą pełnią, prawdziwym weselem i spokojem — z Bogiem w chwalebnej lub dziękczynnej modlitwie.

Kościół Boży głosi, że człowiek stwórczym aktem Bożym i Chrystusowym odkupieniem stworzony został przede wszystkim do miłości do Boga. Ksiądz Smith, bohater niedawno wydanej w naszym kraju powieści Bruce Marshalla jest głęboko przekonany o tym, że „młody człowiek naciskający dzwonek u drzwi domu publicznego nieświadomie szuka Boga". (Chwała córy królewskiej, tłum. J. J. Szczepański. „Pax". Warszawa, r. 1949 str. 136). Te słowa księdza Smitha można by uzupełnić stwierdzeniem, że właśnie miłość do Boga, która jedynie w pełni zaspakaja serce ludzkie, najlepiej broni zawsze i wszędzie i każdą osobowość zarówno od parodii miłosnego zjednoczenia, jak i od zarazy pychy, i że brak tej miłości jest równoznaczny ze stałym niebezpieczeństwem zupełnego pogrążenia się w innym grzechu zabijającym społeczną miłość.

Siłę miłości warunkuje wielkość prawdy, dobra i piękna, cechujących przedmiot miłości oraz stosunek tego przedmiotu do miłującego.

Najwyższym Dobrem, Pięknem i Prawdą jest Bóg. Bóg jest również najwyższą Miłością. Bóg kocha nas przecież bardziej nawet niż my siebie samych. Co więcej Bóg, od którego każdy byt pochodzi i zależy, kocha nas mimo naszych zdrad i upadków, będąc nie tylko najpełniej miłującym, ale i najbardziej miłosiernym.

Wielkość, miłość i miłosierdzie Boga sprawiają, że miłość człowieka do Boga jest największą, najbardziej płodną miłością na jaką zdobyć się może natura ludzka, a pokora, która tej miłości towarzyszy jest pokorą najgłębszą. Studiując żywoty świętych przekonujemy się, że dopiero chwalebne upokorzenie wynikające z uznania swej zależności od Bożej miłości czyni człowieka prawdziwie i nieustannie miłującym swoich bliźnich, dopiero ono obdarza go moralną w najwyższej skali wielkością.

W swojej książce o pokornym świętym z Asyżu G. K. Chesterton charakteryzując stosunek człowieka chwalebnie upokorzonego do ludzi napisał: „Czcił wszystkich ludzi, to znaczy, że nie tylko ich kochał, ale i szanował. Tym, co mu dawało tę nadzwyczajną władzę osobistą było to, że od papieża do żebraka, od sułtana syryjskiego w jego namiocie do obszarpanych rozbójników, wyłażących z boru, nie było człowieka, który by, spojrzawszy w te palące ciemne oczy, nie był przekonany, że Franciszek Bernardone rzeczywiście nim się interesuje, jego własnym wewnętrznym życiem osobistym od kolebki do grobu, że on sam we własnej osobie jest oceniany i brany na serio, a nie tylko jako dodatek do łupów czy nazwisk na duchowym spisie. (Św. Franciszek z Asyżu. Tłum. Artur Chojecki. Księg. św. Jacka. Katowice str. 97).

Resumuję treść moich rozważań. Wielkość działacza społecznego, bez której nie ma wielkiej działalności społeczno-politycznej, jest zależna od wielkości moralnej. Jej źródłem jest tylko miłość, zaś tą dyspozycją, która miłości pozwala płonąć, ukazywać uspołecznione, humanistyczne cele i środki jest tylko pokora. Społeczny działacz zbliża się do ideału wielkości politycznej, zbliża się do pełnego przeżycia pokory wtedy, kiedy jego społeczna praca staje się wyrazem miłości. Szukając oparcia dla walki z pychą, szukając natchnień do wypracowywania i upowszechniania pokory dochodzimy do najwspanialszej szkoły miłości twórczej, żyjącej w Sakramentach i w Świętych Katolickiego Kościoła.

Ogrom doświadczeń z zakresu zdobywania i kultywowania pokory zebrali ci, którzy wyrośli w najwspanialszej szkole miłości — w Kościele Bożym: święci i myśliciele katoliccy. Któż jak nie katolicy winni te doświadczenia świadczące wielką prawdę chrześcijańską, jaką jest pokora przekazać światu słowem i przykładem, **przykładem przede wszystkim.** „Albowiem prawda chrześcijańska nie jest systemem, który można z zewnątrz narzucić na zasadzie autorytetu tych, którzy nauczają, ani też na podstawie samych argumentów obiektywnych. Apostolstwo jest dawaniem świadectwa".

Nakaz apostolstwa pokory nie jest łatwy do spełniania. Pokorę wypracować indywidualnie, pokorę szerzyć społecznie, pokorę zaszczepiać w atmosferę obyczajowości, w styl społecznego życia — to praca istotnie ogromna.

Jeśli więc powiemy, że o tą właśnie miłość chodzi, że właśnie ona jest warunkiem pozytywnym dla ludzkości poczynań społecznych i naukowych, warunkiem wielkości wyników tych poczynań, zrozumiałe stają się słowa: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiędą ziemię. „(Mat. 5,4).

Czesław Czapów

Andrzej Łepkowski

Metafora na cenzurowanym

— W katolickiej poezji powojennej uwydatnia się niepokojąca inwazja metafory!...

Taki alarmujący charakter miała część artykułu Zygmunta Lichniaka w świątecznym numerze „Dziś i Jutro", poświęcona poezji.

Opinia ta nie jest odosobniona. Słyszymy tu i ówdzie: Zagęszczenie metafory czyni wiersz niestrawnym — bez odrobiny lirycznego luzu... Utwór jest formalistyczny i matematycznie oschły... Trzeba zredukować ilość metafor.. Metafora tworzy poezję niezrozumiałą a niezrozumiałe wiersze są elitarne... Podporządkowanie metaforze każdego wiersza jest manierą... itd.

A więc metafora „na cenzurowanym"...!

***

— Muszę napoić kwiatki bo im skrzydełka opadają — usłyszałem, idąc zamyślony przez krakowski rynek. Zatrzymałem się. Za straganem stała gruba przekupka i z białego dzbanka podlewała kolorowe hortensje, „Muszę napoić kwiatki" — to już gdzieś słyszałem, ale ten pomysł ze skrzydełkami był zupełnie nowy i zachwycający w swoim liryzmie. Przypomniały mi się zaraz wszystkie „botaniczne" metafory i Lwie pyszczki, dzwoneczki, mieczyki, ale o „skrzydełkach" napewno nigdzie nic nie było. Kupiłem wiązankę polnych goździków patrzących przed siebie żółtymi ślepkami. Spodobała mi się jakaś roślinka z długim czerwonym kwiatostanem.

— O ten bażanci ogon panu chodzi — jak dla pana 250 zł...

Kupiłem. Płacąc myślałem o trawniku Przybosia, „rozmienionym na grosze stokroci". Idąc z doniczką pod pachą, układałem wiersz.

Przez pokój przeszły oczy kwiatów
setkami żółtych źrenic.
Bukiet jak zestrzelony bażant
obsypał obrus czerwonym pierzem
Pod skrzydła zwiędłych liści
schroniły się ostatnie słowa.
A pod naporem myśli
pękł kryształowy wazon.

Taki sobie dziwaczny wierszyk — obrazek, podpisany np. „Martwa natura".

Jest i pokój i kwiaty. Z kwiatów sypią się płatki jak pióra zestrzelonego ptaka. Równocześnie z tytułem kojarzy się nieżywy bażant na białym obrusie, z flamandzkiego obrazu. No i wreszcie element subiektywny, słowa i myśli.

Tyle problemów i skojarzeń, a wszystkiemu winna kwiaciarka z rynku.

***

Pisząc wiersz, ma się zazwyczaj wizję plastyczną lub muzyczną, złączoną z jakimś stanem uczuciowym, spowodowanym przeżyciem. Celem poety jest przekazanie wizji czytającemu. Utwór powinien utrwalić w odbiorcy silne i niezmienne wrażenie widzialne, słyszalne, względnie pojęciowe.

Poezja operuje skrótami, które wywołują skojarzenia nieraz bardzo odległe od intencji twórcy. Inaczej mówiąc, przez pobudzanie wyobraźni sprowadza nastrój (klimat), który różnie może być odczuwany przez poetę i czytelnika.

Tak jak podstawą pracy jest rozwiązanie artystyczne treści, tak podstawową poezji (szczególnie lirycznej) jest sprowadzenie wrażenia o charakterze migawkowym.

Przedstawienie prozą np. okropności wojny, wywołuje zwykle wizję czysto zewnętrzną, która dociera zarówno do tych, którzy wojną widzieli z bliska, jak do tych, którzy jej nie znają.

Poezja okresu wojennego, porusza wtórne przeżycia psychiczne a więc asocjacje. Oddziaływając mocno na bezpośrednich świadków wojny, dla reszty jest niezrozumiała.

Przeżycie grozy śmierci wywraca w świadomości człowieka dotychczasowy porządek życia i wywiera stałe piętno na jego psychice. Zadaniem poety jest trafić w sedno uczuć i wydobyć środkami poetyckiego języka kopię zapamiętanego wrażenia.

Kto nie był w Krakowie w styczniu 1945 r., ten nie oceni klimatu wiersza Przybosia „Na Wawel", w którym, swoją radość z ocalenia zabytkowego miasta, poeta obrazuje w świetnej metaforze: „Idę ulicą jakbym pomnik odsłaniał".

Przeciętny warszawianin, który w tym okresie, wyraz „miasto" przeżywał pod kątem zburzenia Warszawy, nie zrozumie w pełni tej metafory, chyba, że już kiedyś przechodził podobny wstrząs psychiczny.

(Nie mam naturalnie na myśli odczuwania radości czy smutku jako sumy różnych wstrząsów psychicznych).

Argumentacja ta obciąża metaforę poetycką, za niesprawiedliwe rozdzielanie wrażeń pomiędzy czytelników. Ale przecież ta pozorna niekomunikatywność metafory, jest wynikiem braku różnych przeżyć a brak taki może być spowodowany tysiącem okoliczności.

Tak więc jakaś przenośnia, będąc bardzo cenna dla jednych, może być bezwartościowa dla drugich i odwrotnie.

Wracając do skomplikowanego nastroju w metaforze Przybosia, spróbujmy wyrazić go w sposób, żeby stał się jasny dla każdego. Musielibyśmy określić nastrój przy odsłanianiu pomnika i nastrój, któremu podlegamy, patrząc na ocalałe miasto. Długi opis zająłby dużo miejsca a przez swoje rozwodnienie straciłby na artystycznej sile wyrazu.

Poeta wybiera najkrótszą drogę. Przyjmując, że każdy był świadkiem odsłonięcia pomnika, porównuje klimat wzruszeń w kilku słowach.

***

Metafora plastyczna, czysto wzrokowa, porównująca zjawiska dostrzegalne, może być całkiem obca dla człowieka nie posiadającego wyobraźni wzrokowej. Tak samo metafora dźwiękowa staje się pustym frazesem dla ludzi bez poczucia rytmu i muzykalności.

Jak więc należy stosować przenośnie, ażeby trafiały do wszystkich? (Czy może nie używać ich wcale?) Czy zagęszczenie metafory jest objawem niepokojącym?..

Wydaje mi się, że przez używanie różnych metafor; pojęciowych, plastycznych, fonetycznych i przeznaświetlenie wierszy z każdej perspektywy, zdobywa poeta maksimum pewności, że jego utwory trafią do czytelników i zostaną należycie przetrawione i zrozumiane.

Zagęszczenie tych samych metafor względnie pochodzących z jednej rodziny jest na pewno błędem i manierą.

U poetów posiadających uzdolnienia muzyczne albo malarskie ukazują się często skłonności do używania podobnych przenośni, idących równolegle do jednego z tych uzdolnień.

Najlepiej z impasu wychodzą poeci o założeniach filozoficznych. Poeta taki stosując metaforę pojęciową, ogarnia największą ilość istotnych zagadnień, używając metafor plastycznych i muzycznych symbolicznie, np. „Czarny dzień", „Melodyjna samotność".

***

Metafory mają ogromne znaczenie emocjonalne, dynamiczne i estetyczne, jeżeli oryginalność ich nie wynika z zawiłych kombinacji myślowych.

Fakt, że ludzie prości używają w języku potocznym dosadnych i trafnych metafor, jest wskaźnikiem, że przenośnię najlepiej budować w sposób nieskomplikowany.

***

Często zdarzało mi się słyszeć na wsi z ust chłopa metaforę, na którą nie wpadłby żaden poeta. (Przykład lirycznej metafory wygłoszonej przez kwiaciarkę z rynku, jest autentyczny).

Jeżeli chłop powie o zachodzie, że — „słońce wlazło do komina" oznacza to wartość czasu, miejsca, nastroju. (Tak powstawały przysłowia).

Dla człowieka myślącego logicznie „słońce w kominie" jest nonsensem. Takie „logiczne" podchodzenie do wiersza powoduje najczęściej obrażanie się czytelników na poetę.

Większość ludzi nie znosi nowych metafor dlatego, że nie nadąża za nimi swoją wizją.

***

Czy można już zdjąć metaforę z „cenzurowanego"?

Chyba tak...

Ale na drogę trzeba dać jej naukę. Nie wolno jej zapominać o tym, że jest w poezji sposobem a nie celem i musi podporządkować się wartościom emocjonalnym, rytmicznym i estetycznym, które narzuca poezja. Jeżeli metafora zastosuje się do tej rady, wiersz będzie na pewno dobry a inwazja przenośni pożądana.

Wtedy alarm możemy odwołać...

A. Łepkowski

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

PRAWDA Z MYSZKĄ

MONITOR
WARSZAWSKI
NA
R. P. 1765.
Liczbę LXXVIII.
polarkuszowych Kartek
w sobie
ZAWIERAJĄCY.

Dicite iustitiam MONITI, nec tem-nite Dnoś.

w WARSZAWIE

WYJĄTKI Z „MONITORA"

O PIJAŃSTWIE.

M. Panie Monitor! Przedsięwziąłem miałkiem mojem zdaniem usprawiedliwić W. M. Panu tych, których ogólnie pijakami nazywasz. Zdało by mi się, iżby potrzeba uczynić różnicę między zataczającym się po drodze, lub leżącym w błocie bez zmysłów pijanicą, a tym, który z dobrym przyjacielem i n c h a r i t a t e n o n f i c t a czasem też sobie podochoci. Zastraszyłeś W. M. P. tak daleco całą tutejszą okolicę, iż imieniny żony mojej ledwo nie spełzły. Siedzieliśmy u stołu, jak na stypie; pogadawszy trochę o naszych stajniach i psiarniach, tak nam na koniec dyskursu brakło, iż dobry nasz staruszek ksiądz pleban kazanie swoje powtarzać zaczął i uśpił wszystkich co do jednego. Zważ sam W. M. Pan, co się nam działo, kiedy on skończył a my się ocknęli. Za przeproszeniem W. M. Pana Dobrodzieja musiałem rad nie rad przynieść mój ulubiony kielich; naprzód zgodziliśmy się wszyscy na to, aby wypić za zdrowie Monitora. Ach Mości Dobrodzieju, gdybyś tam był, dopierobyś zobaczył, jak w nas duch wstąpił; dyskursa się zaczęły; ci, którzy się ledwo znali przed pierwszą koleją, po trzeciej poprzysięgali sobie wieczną przyjaźń, ja na to patrząc, ażem zapłakał z radości. Prawda, że dwóch z naszej kompanii zwadziło się ku wieczorowi i jeden drugiemu pysk wyciął, ale gdyby byli trzeźwi, zapewne by się byli pozabijali. Nazajutrz bolała mnie głowa niezmiernie, ale to podobno winien był temu dzień pochmurny, niech wreszcie tam będzie co chce, a W. M. Pan bądź na nas łaskaw.

Pamiętam niedawno i na kazaniu słyszałem, że v i n u m b o n u m l a e t i f i c a t c o r h o m i n i s — ile możności ja staram się, żeby u mnie dobre bywało i tylko bym chciał sobie podweselić, a przypadkiem się chyba upiję. Zważ W. M. P. Dobr. i to jeszcze, iż jak zapamiętam w sąsiedztwie naszym żaden kompromis bez kielicha się nie skończył, znać że wino do zgody dobre. Byłem sekundantem na dwóch pojedynkach i tam wino moje lepiej od ładunków Ichmościów adwersarzów uspokoiło. Proszę zatem W. M. Pana Dobrodzieja pozwól nam się ucieszyć cokolwiek, przecież to i ojcowie nasi dobrze pijali, a poczciwie służyli Ojczyźnie. Jeżeli zaś łaska kochanego Dobrodzieja nastąpi, oddawca listu domek mój opowie, w którym otwartym sercem oczekuję bytności jego z wysokim zostając poważaniem.

A n t a l e w i c z.
(Nr. 19, r. 1766).

DRUGI LIST W TEJŻE MATERYI.

M. Panie Monitor! Rozumiałem, że tak istotna między pijanym a pijakiem różnica, jaką pokazał w liście swoim do W. M. Pana pisanym Jmć. Pan Antalewicz, mój wielki przyjaciel, skłoni go do łaskawszych sentymentów na nas za przyczyną pijących, aliści położone na końcu uwagi jakby mnie z nóg ścięły, widząc W. M. Pana jednakowo przeciw wszelkiemu rodzajowi pijaństwa surowego.

Gdy mi równie jest ciężko tak z dobrym winem jak i z W. M. Pana szanownymi rozstać się naukami, przedsięwziąłem jeszcze tentować łaski jego następującymi uwagami.

Żebyśmy się mogli zaszczycić cnotą wstrzemięźliwości, trzeba nam nieraz nie czasem ale zawsze zachować pomiarkowanie w napoju; żebyśmy też przyszli na obelgę pijanicy, mało jest czasem się upić, bo tak cnoty jako i występki wtenczas w rodzaju swoim doskonałe, kiedy nie trefunkowe, ale zwyczajne.

Od Noego patriarchy do najpóźniejszej daty świeżego teraźniejszych czasów pijaka, wyliczyłbym W. M. Panu milion ludzi godnych, z których wysokiej sławy aż do wieku naszego zaniesionej bynajmniej nie ukrzywdziła ta (jak ją W. M. Pan zowiesz) przywara. Ale dosyć mi wspomnieć jednego Katona: n a r r a t u r & p r i s c i C a t o n i s v i r t u s a l i q u a n d o c a l u i s s e m e r o; q u a r e s i q u i s C a t o n i e b r i e t a t e m o b i e c e r i t, f a c i l i u s e f f i c i e t h o c c r i m e n h o n e s t u m, q u a m t u r p e m C a t o n e m. A za cóż my ludzie dobrzy, od surowości dawnych filozofów dalecy, mamy się kondemnować, że sobie czasem przyjaciel z przyjacielem podochoci, kiedy to i najgodniejszym osobom uchodziło. Nie przeczę W. M. Panu, że wstrzemięźliwość jest wysoką cnotą, tylko na to pozwolić nie mogę, żeby się bez niej nikt nie mógł zwać poczciwym człowiekiem.

Znamy wielu po pijanemu szczerych, miłosiernych, pobożnych, uniżonych, zgoła niezliczonych cnót pełnych, bo źródło tego wszystkiego nie z wina, ale z ich szczęśliwej natury płynie, będą zaś we wszystkim przeciwni, jeżeli są z złych sklejeni namiętności, pijaństwo bowiem nie rodzi, ale zrodzone zewnątrz wyrzuca na wierzch defekta; może się zdać przynajmniej na sposób poznawania hipokrytów.

Że Mahomet, będąc podległy epilepsji, wina pić nie mógł, dlatego podobno przez zazdrość zakazał go uczniom i naśladowcom swoim, lecz my mamy lepszego prawodawcę, który napisał:

V i n a b i b a n t h o m i n e s, a n i m a l i a c a e t e r a f o n t e s.

O zwierza pijanego dlatego trudno, bo wino nie leje się po strugach tak, jak woda, będąc ku używaniu dla samego tylko człowieka sporządzone.

Miałem już kończyć, kiedy przyszedłszy do mnie stary pan winiarz, tak utyskiwał: Ach, Mci Panie, cóż się to z nami ubogimi szynkarzami dziać będzie! Słyszę, wyszła z Warszawy jakaś inhibicja, żeby wina i wszelkich gorących trunków nie pijano tylko pod miarę. Jam się w tym mieście pięknie wymurował, dziatkom przystojnie wychował, z córką dałem blisko na 50.000 złr. wszystko to się zebrało od Ichmciów, którzy p r o h o n o r e g e n t i s i sami się upijali i poili drugich, teraz przyjdzie mi i wielu ze mną szynkarzom chleba żebrać, jeżeli ten chwalebny narodu zwyczaj ustanie, miasta w ruinę pójdą, gdyż najwięcej na propinacji stoją. I tam dalej rozwodził swoje żale. Jam na to odpowiedział: Nie frasuj się, mój panie winiarzu, nie znajdzie się łatwo taki w Polszcze podwojewodzy, który by miarę w gardle postanowił.

Proszę W. M. Pana, abyś łaskawie przyjął te moje uwagi, ja zaś za pozyskany fawor obiecuję W. M. Panu, iż co przedtem dzień tylko jeden w tydzień miałem poślubiony trzeźwości, to teraz odmienię votum i tylko się raz w tydzień za zdrowie jego upiję.

Ł y k a c z e w s k i
(R. 1766, nr 31)

DYARYUSZ DAMY

Podany do publicznej wiadomości na początku roku teraźniejszego diariusz zabaw pewnego kawalera pobudził jednę z dam do podobnej w zapisywaniu spraw codziennych pilności. Kilka tylko dni tu przełożę, z których i reszty życia domyśleć się można.

P o n i e d z i a ł e k. O godzinie 8. ocknęłam się: leżąc w łóżku wypiłam kawy trzy filiżanki i znowum szczęśliwie usnęła. O godzinie 10. czytałam Monitora NB. Niechby on patrzył sobie podobnych, a damom dał spokój. Nawiedził mię potem przy gotowalni Jmć P Modnicki i bawił u mnie aż do godziny 11, szkoda, że żonaty. Kończyłam potem ubieranie moje. NB. Postrzegłam, że kolor niebieski lepiej mi przystoi, niż inne.

Wpół do 12. przyjechał podług umowy wczorajszej Jmć P. Gachowski, z którym jeździłam do Ujazdowa na spacer. Powróciwszy jadłam u siebie. NB. Jmć P. Fadon Francuz przechodził koło moich okien, był gustownie ufryzowany.

O godzinie 5. pojechałam z wizytą do Jmć Pani Staruszkiewiczowej. Nie mogłam znieść jej wykwintów: ale że była tam piękna kompania, bawiłam się aż do 8.

Powróciłam do domu. Wieczerza. Grałam w karty do północy. Udawszy się potem do spoczynku, nie mogłam zasnąć. Wykwinty Staruszkiewiczowej wprawiły mnie w zły humor; sfukałam Lizetkę.

W t o r e k. Ocknęłam się wpół do 9. wypiwszy dwie filiżanki herbaty, znowu spałam do 10, śniło mi się, że Jmć Pan Fadon grał ze mną w karty. Zaczęłam czytać Koloandra, alić mi przyniesiono bilet od Jmć Pana Fadona. Przeczytałam go 4 razy i schowałam w szkatułce lakierowanej. Od 11. do 12. bawiłam się przy gotowalni. Zdawało mi się, żem była bledsza nad zwyczaj, ale Jmć P. Gachowski, który był przytomny, dowodził mocnymi racjami, iż mi zwierciadło krzywdę czyniło. NB. Ząb się złamał w grzebieniu moim tartarogowym. O godzinie 12. Jmć Pani Staruszkiewiczowa przysłała pazia, pytając się, jeślim miała noc spokojną i znowu mię w zły humor wprowadziła. Jubiler przyniósł klejnoty, ale na kredyt nie chciał mi nic dać.

Obiad jadłam prywatnie, po którym P. Fadon mię nawiedził. Znowu byłam dobrego humoru: przymówiłam mu jednak, że bywa u Staruszkiewiczowej. NB. muszę się spytać, czyj to portrecik ma w swojej tabakierze. Grałam z nim w karty do późna, przegrałam czerw. zł. 20, alem to umyślnie uczyniła. Podczas wieczerzy mysz mię przestraszyła i mocno zalterowała: ale Jmć Pan Fadon znowu mię w dobry humor wprowadził.

Ś r o d a. Wstałam o godzinie 10. i postanowiłam cały dzień bawić u siebie i n c o g n i t o. Od 11. do 12. zamknąwszy się w moim gabinecie, układałam sobie minę i uśmiech Pani Umizgalskiej. NB. trzeba się dowiedzieć, jakiej ona wódki zażywa do utrzymania gładkości twarzy. Od 12. do drugiej naradzałam się z krawcem, jakiego koloru mam sobie robron sprawić, ale i dotąd jeszcze nie jestem determinowana. Obiad prywatny. Byłam mocno pomieszana, przypomniawszy sobie, iż Staruszkiewiczowa jest tego zdania jakby ją kochał Jmć P. Fadon. Hajduk szarmantkę przez nieostrożność potrącił, kazałam mu za to dać dobre plagi. Napiłam się likieru pomarańczowego.

O godzinie 4. odmieniłam przedsięwzięcie: pojechałam na assamble. Nie chciałam być na komedii, dowiedziawszy się, iż miała być polska: trąci grubiaństwem języka i dowcipu polskiego. NB. Umizgalska miała gustowny garnitur. Pani Wymyślnicka mówiła mi do ucha, iż ma coś mnie powiedzieć o Jmć Panu Fadonie: ale jestem pewna, że to nieprawda. Pan Grzecznicki mocno mi się akkomodował: dosyć ma poloru; szkoda, że Polak. NB. Trzeba zmartwić Staruszkiewiczową.

C z w a r t e k. Od 10. do 11. przesadzałam muszkę z miejsca na miejsce: na koniec determinowałam się się przylepić ją nad lewym okiem. Przypominałam sobie sen dzisiejszy, w którym zdało mi się, jakoby Jmć Pan Fadon klęczał przede mną. Od 11. do 1. ubierałam się. Trzy razy insze suknie brałam na siebie. NB. Niebieski kolor nie bardzo mi służy, trzeba wyrozumieć z Jmć Pana Fadona, który kolor on lubi.

Po obiedzie Jmć Pani Zacniewska wzięła mię z sobą na operę. Jmć Pan Fadon na początku drugiego aktu przyszedł do mnie, na końcu prowadził mnie do karety: zdawało mi się, iż mię ścisnął za rękę. Powróciwszy do siebie zwyczajne miałam zabawy. Układałam się wcześnie: ale miałam sen straszny, jakby Jmć Pan Fadon mocno akkomodował się Staruszkiewiczowej.

P i ą t e k. Święto. Miałam jechać do kościoła, ale sen pomieniony sprawił mi migrenę. Przed południem Pani Zacniewska przyjechała i wzięła mię na obiad do siebie. Jmć Pani Bogacka przyjechała w gustownej karecie paryskiej. NB. Muszę koniecznie takaż dla siebie zanisać, choćby mi przyszło i wioskę sprzedać. Podczas obiadu mówili niektórzy, że Jmć Pan Fadon jest filut, ale to fałsz oczywisty, nie podobny do tego. Sama twarz ukazuje, iż musi być godny kawaler.

S o b o t a. Obudziła mnie szarmantka swojem szczekaniem o godzinie wpół do 10. Napiłam się kawy. Trzeba będzie filiżanki nowe kupić, bo u pani Staruszkiewiczowej są z brzegami złotymi. O godzinie 10. byłam złego humoru, oddano mi list od mego męża. Od wpół do 11. do wpół do 1. obierałam wstążki i blondyny do garnirowania: prawda, że droższe u M a d a m D a m o n, ale bawi u gotowalni. Od wpół do 1. do trzech kwadransów na trzecią ubierałam się i pojechałam na obiad. Goście na mnie wszyscy czekali i gospodarz był markotny, żem późno przyjechała: ale powiedział onegdaj Jmć Pan Fadon, że to dystyngwuje zacne damy. NB. Paszteciki nowej inwencji.

O piątej siadłam grać w trysetę: przegrałam partyj 38; na wieczerzy nie miałam apetytu, tylko kratkowego ciasta trochę zjadłam.

(R. 1767, nr 36)

O WSZĘDOBYLSKICH

N a g r o b e k.

Tu spoczywa ten,
Który nie spoczywał nigdy.
Miał honor w życiu swojem
pięciuset
Trzydziestu i dwom asystować
pogrzebom
Winszował przyjaciołom narodzenia potomstwa
Dwóch tysięcy sześćset ośmdziesiąt i dwóch dziatek.
Intrata królewszczyzn, nadanych różnym, którym wszystkim powinszowanie złożył, a każdemu w odmiennym wyrażeniu, wynosi corocznie na dwa miliony sześć kroć sto tysięcy; droga, którą po brukach miasta zbiegał czyni dziewięć tysięcy siedemset osiemdziesiąt cztery mil największej wielkości; konwersacya jego dziwna była, miał w gotowości trzysta sześćdziesiąt i pięć przypowiastek, a sto ośmnaście w młodym wieku swoim z różnych ksiąg zebranych gadek; tymi przedziwnie zaprawiał rozmowy swoje.

Umarł w roku wieku swojego sześćdziesiątym.

O jego dziełach milczeć trzeba, bo któż policzy ile on widział i mówił!

(R. 1767, nr 77)

wybrał B. M. Długoszewski

Czytajcie
„Słowo Powszechne"

Eugeniusz Paukszta

MARYJKA

(Fragment powieści rybackiej pt. „Wielka Toń")

Marii Znamierowskiej – Prufferowej

Tej nocy źle się jakoś spało Janowi. Wstawał dwa razy, wychodził na dwór zajrzeć do „żywioły", czy aby tam nie stało się co złego, targał nim bowiem jakiś dziwny, nienazwany niepokój. Nic określonego, ot, takie jakieś ściskanie pod gardłem, dziwna niemoc około serca. Aż się zżymnął na siebie, że robi się podobny do baby. Przewracał się z boku na bok na swoim posłaniu, wsłuchiwał w pochrapywanie brata i siostry, spoglądał w niewyraźnie majaczące zarysy okna, dumał nad swą dolą i nieszczęsną miłością — durem nieodpartym do Maryjki, próbował i modlitwy, ale spokój nie przychodził. Ledwo doczekał pierwszych przeblasków świtu, nieśmiało wpadających do izby.

Po mieroże wybierał się tego dnia dopiero gdzieś nad wieczorem. Miał dużo roboty w domu, a i nie było czego śpieszyć tak bardzo. Dopiero przed dwoma dniami je zastawił. Teraz zmienił jednak zamiar. Ciągnęło go nad wodę: tam tylko mógł znaleźć spokój, zwolnienie od dręczącego go nastroju.

Ubrał się cicho, szybko, i na palcach, by nie budzić rodzeństwa, chyłkiem wysunął się za próg. Późnowiosenne słońce szturmem zdobywało świat. Promienie jego, jeszcze chłodne, padały płasko nad obejściem, kładły się nierównomiernymi plamami na brudne podwórze i dopiero na pajęczynie rozwieszonych sieci nabierały pięknych, mieniących się od cieni.

Łagodnym skosem grunt od obejścia opadał w dół do jeziora. W tym miejscu wżynało się ono w ląd wąską zatoką, zacienioną potężnym sznurem dookolnych drzew. Od północy jeno przesmykiem wąskim, jak gardło butelki zatoka wlewała się szeroko we właściwą toń wodną. Szedł stamtąd rześki, poranny chłód. Jan przeciągnął ramiona, aż zatrzeszczało w stawach. Weselej spojrzał do góry, potem pobiegł wzrokiem za szybującą nisko nad ziemią czaplą. Zniknęła za linią drzew, grodzących zatokę od jeziora.

— Na połów, jak ja... — uśmiechnął się do siebie.

Spod okapu świronka wziął pod pachę wiosło, nacisnął mocniej czapę na uszy i szerokim, niezgrabnym krokiem ruszył ku zatoce.

Lekkie fale rozbiegały się ukośnymi pasami na boki od łodzi. Spokojnymi, równymi ruchami przerzucał wiosło ze strony na stronę. Chwilami dla wyrównania biegu przytrzymywał je przez moment za sobą, a wtedy linia wzburzonej piany wygładzała się, małymi tylko lejkami naruszając spokój tafli jeziornej. Lekki poranny wiaterek muskał twarz Jana, a potem przelatywał z cichym szelestem na przybrzeżne sitowie, które kornie skłaniało przed nim głowy, jakby witając w ten sposób przejeżdżającego rybaka.

Rozpiął surdut, zrzucił czapkę z głowy, podniósł się i stał tak teraz wyprostowany, wysoki, barczysty. Ostre rysy jego twarzy, nie tracąc swego charakteru, w blaskach padającego słońca jakby zmiękły, złagodniały, nabrały oryginalnego piękna. Wiosłował stojąc, ramiona jego regularnie przerzucały się ze strony na stronę, ruchy nabrały zgrabności, elastyczności. Głęboko wciągał powietrze, a z duszy ulatniał mu się nocny osad. Na twarz wypłynął na chwilę spokojny, pogodny uśmiech. Oczy z lekką zadumą i rozrzewnieniem błądziły po szerokim rozlewiu wodnym, srebrzącym się teraz, mieniącym uroczyście w rannym misterium słonecznym. Stado kaczek z furkotem opadło nieopodal na wodę. Od brzegu zdławionym, zduszonym głosem zawrzeszczała żaba. Nieco dalej plusnęło coś silnie raz i drugi, szerokie kręgi rozlały się wokół. Szczupak rozpoczynał łowy. Na cyplu przybrzeżnym, żółciejącym, jasnym, ciągle przepłukiwanym przez fale piaskiem, z powagą przechadzały się na swych długich, cienkich nożynach pliszki, utrzymując równowagę osobliwym sterem długiego ogona. Nieco przed łodzią wychynęła na powierzchnię głowa i długa szyja nurka wodnego, by po sekundzie w straszliwym przerażeniu skryć się pod wodę i wychynąć dopiero w odległości dobrych kilkudziesięciu metrów.

Czarno-brązowe oczy Jana, tak ostatnio zazwyczaj przygasłe i ponure, skrzyły się teraz pogodą i wewnętrznym weselem. Odżywał nad wodą. Nawet myśl o Maryjce nie zdolna była zepsuć nastroju, łączyła się tu z nią bowiem nadzieja, że przecie chyba i jemu kiedyś Bóg szczęścia miłości nie poskąpi, że może ona się opamięta, zapomni o tamtym, zechce spojrzeć inaczej na niego... Błądził wzrokiem dookoła, oglądał się na ptactwo i trzciny, próbował zgadywać po plusku o wielkości krewkiego szczupaka, bawił się widokiem przerażenia nurka.

Przecinał jezioro na ukos. Pierwsza partia mieroży, szczepionych razem w jarus, zastawiona była u pasma sitowia tuż przy dalekim zakosem wchodzącej w toń łaszy mielizny. W okresie wiosennym ryba chętnie przybliżała się do brzegu.

Parł wodę mocno, równomiernymi uderzeniami styrki. Pasmo sitowia, daleko na łasze wybiegające w toń, z ciemnozielonej kresy przemieniało się teraz w łyskającą słonecznym seledynem pogmatwaną, poplątaną masę pojedyńczych łodyg roślinnych, chwiejących się pod takt podmuchów wiatru. Jan uważnym okiem wypatrywał miejsca, gdzie spokój jeziornego bytowania zakłócała misterna, gęsta plątanina oczek sieci. Skierował czółno nieco w lewo. Bokiem otarł się o szuwary. Przestraszony mały pajączek szybkim ruchem ześlizgnął się po wąskiej łodydze trzciny do dołu, gdzie przywarował wreszcie w jakimś załamaniu.

Rybak zatrzymał czółno. Lekka fala osłabiała zdolność widzenia dna, musiał więc sobie pomagać wiosłem. Trójkątnym nacięciem zaczepił wreszcie o sznur mieroży. Ujął styrkę mocniej w dłonie, przechylił się, szarpnął, a potem wolno, spokojnie ciągnął sieć ku górze. Za chwilę wyłonił się z wody pierwszy kul. Jan zaklął z cicha pod nosem. Był pusty. Składał obręcze sieci na przełożonej w poprzek czółna desce. Przytrzymując skrzydło w rękach, wciągał je do łodzi i posuwał się ku drugiemu krańcowi mieroży. Tu sprawa przedstawiała się nieco lepiej. Znalazł niedużego szczupaka i kilka leszczy. Dalsze mieroże przyniosły mniej więcej te same wyniki. Dopiero przy wyciąganiu ostatniego zakłębiło się, buchnęło coś w kulu, machnęło na boki wściekłymi bryzgami. Jan wparł się mocniej nogami w dno, ręce naprężyły się w wysiłku. Szalonymi ruchami, pełnymi przerażenia i przeczuwanego przedśmiertnego lęku rzucał się w kulu olbrzymi, ciemny, z odchodzącymi w boki nieco jaśniejszymi pręgami, szczupak. Ręce Jana pracowały szybko, sprawnie. Wreszcie kul cały wraz z zawartością znalazł się w łodzi. Uśmiechnięte spojrzenie rybaka pobiegło ku zdobyczy.

— Będzie z osiem kilo — ocenił w duchu — mógł porwać sieć...

I zaraz z wdzięcznością pomyślał o siostrze:

— Zuch ta Teośka. Dobrze uplotła mocne płótno, nie ma co...

Za chwilę ryby znalazły się w krytej deską przegródce, do której wpuścił nieco wody. Raz po razu szczupak z siłą uderzał o jej brzegi, skracając swoim rzucaniem żywot pozostałych ofiar dzisiejszego połowu.

Jan odpłynął nieco na głębszą wodę, gdzie zostawił czółno własnemu biegowi. Sam usiadł na desce przerzuconej w poprzek i zapalił papierosa. Pochłaniał dym potężnymi, łapczywymi haustami, oczy jego z nad stosu mieroży błądziły po wodnej płaszczyźnie, a myśl, spokojna już i nadziejna tym spokojem, wracała do jednego, najważniejszego tematu. Myślał o Maryjce. Ckniło mu się już choćby za jej widokiem. Zamyślił, że przejdzie dziś na drugi koniec wsi, zaproponuje jej staremu wspólny połów na przyszły tydzień, gdy Teośka skończy wreszcie niewód naprawiać. Przy tej okazji może i Maryjkę zastanie, jeżeli nie pogada, to choć napatrzy się jej do syta...

Nie wiedział jak długo tak siedział dumając. Papieros dawno już zagasł z psyknięciem, rzucony w wodę, słońce przygrzewać zaczynało coraz mocniej, szczupak w zagródce przestał się rzucać, gdy wreszcie Jan się opamiętał, podniósł z miejsca, gniewny na siebie. Mruknął. — Ale to mi duru baba zadała. I że właśnie ona, nie kto inny... Westchnął ciężko, ujął styrkę w ręce i popłynął w powrotnym kierunku.

Pchał teraz czółno szczególnie silnie, jakby pragnąc nadrobić stracony czas. Zrzucił surdut i stał w zgrzebnej, samodziałowej koszuli. Spod odsłoniętego brzegu płótna wyglądała silna, złotawa w odcieniu pierś, pulsująca muskulaturą przy każdym uderzeniu wiosła. Gdy dotarł do linii sitowia, posuwał się dalej wzdłuż niej, od pychając się wiosłem od płytkiego w tym miejscu gruntu. Za wrzynającą się w wodę kępą drzew był zakręt, nad którym stała chata Skrzypczaków. Jan westchnął, a bieg łodzi zwolnił się znacznie. Myśl o Maryjce znowu wróciła z całą siłą. Oczy wypatrywały chwili, gdy drzewa odsłonią mu widok jej domu. A może będzie właśnie na podwórzu?

Jeszcze kilka silnych pociągnięć wiosłem i czółno wychynęło spoza zakrętu. Jan spojrzał i war oblał mu twarz. Z podkasaną nieco spódnicą, po kolana stojąc w wodzie, Maryjka w zadumie spoglądała kędyś w dal z nad stosu zamoczonej bielizny. Wiedział, o czym myślała, a serce ścisnęło mu się bólem.

— Przyszedłby czort już raz wreszcie i brał ją mnie z przed oczu i pamięci. Ale gdzie tam, to dla niego była zabawa... — myślał ponuro, powoli robiąc wiosłem.

Maryjka podniosła oczy i spostrzegła Jana. Czoło jej schmurzyło się gniewnie, jakby zła była, że przyłapano ją na tej zadumie tęsknej i mało nadziejnej. On skierował czółno bliżej do brzegu. Maryjka wyszła z wody, starannie obciągając kieckę. Dostrzegł równą, jędrną linię jej nóg, długich, smukłych, rysujących się wyraźnie spod mocno opiętej spódnicy.

Na powitanie jego odparła grzecznie, ale bez zachwytu. Jan czuł się jak intruz, jak zawsze zresztą w jej obecności. Tutaj tracił swą zwykłą odwagę życiową. Próbował coś zagadać, ale szło mu nieskładnie. Przysiadł na brzegu czółna, którego drugi koniec ostro wbił się w brzeg.

I ona usiadła na murawie, objąwszy dłońmi kolana. Nie patrzyła na niego. Wzrok jej zdawał się być wbity w bielejącą w wodzie stertę bielizny. Długie blond włosy rozwiały się przy pracy i teraz niesfornymi falami opadały na kark, zasłaniając szyję i część twarzy patrzał na nią jak urzeczony, nic nie mówiąc. I tak siedzieli opodal siebie, i bliscy bardzo i dalecy jeszcze bardziej.

Maryjka pierwsza przerwała zapadłe milczenie:

— Jak dzisiaj połów? — zagadnęła wskazując na przegrodę w czółnie.

Jan podchwycił temat.

— Nieszczególnie, nie bardzo to już na mieroże i pora. Trzeba z niewodem wyjeżdżać. Siostra koń czy naprawiać. Myślę zajść dziś do ojca waszego, pogadać nad wspólnym połowem w przyszłym tygodniu. Można?

Wzruszyła ramionami:

— Toż tatki sprawa. Co ja tu mogę mieć do zabraniania, albo pozwalania.

— Ale czy i was też zastanę?— wyrzucił z siebie ukrytą, prawdziwą treść myśli.

Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs długo, przeciągle, z bólem jakimś i smutkiem.

A potem odezwała się, jakby z trudem szukając wyrazów:

— Panie Janie, przecie mówiłam już, że to i tak po próżnicy. Poco sobie serce jątrzyć. Ja wiem dobrze jak to boli, jak żre oczy, jak duszę człowiek wyrywa ze siebie. Nie dla pana ja, a i pan nie dla mnie. Ja jego tylko byłam i będę...

Jan milczał długo. Głowę spuścił ku ziemi. Urzekła go śmiałość tej kobiety, która tak od razu mogła mówić o rzeczach najtajniejszych, najboleśniejszych, o rzeczach, które trudno nawet i dla samego siebie ująć w słowa, a cóż dopiero mówić je innym, choć by sercu najbliższym... Milczał, ale jednocześnie gniew w nim wzbierał na nią i na cały świat, a już szczególnie na tego, nieznanego mu człowieka, który oto rozkochał w sobie Maryjkę bez pamięci, a potem rzucił ją z dzieckiem, w hańbie, na pastwę losu. Twarz jego czerwieniała, na czoło wystąpiły grube białe żyły, dłonie zacisnęły się, aż zbielały zupełnie. Wargi rozchylały się kilkakroć, nim wreszcie buchnął z nich potok słów piekących, rozpacznych, pełnych wyrzutu, groźby i błagania zarazem, słów na jakie człowiek raz tylko w życiu może się zdobyć, w które wlewa całego siebie, całą swą duszę, pragnienia, nadzieję, miłość i nienawiść...

— Maryjko! A czy on przyjdzie, czy ty w to wierzysz? Rzucił cię z dzieckiem, czwarty rok jak nie zatroszczy się nawet, co z tobą się dzieje. Czego on będzie tu wracał? Niejedną już pewnie tak zostawił jak ciebie. Ty za nim oczy wypłakujesz, wyglądasz go, ludzi znać nie chcesz. Harda, dumna, ale przecie czym ty — dziewką z bękartem. Tylko, że dur masz jaki w sobie czy jak, że świata za tobą dla mnie nie ma. Nie śpię, o niczym innym myśleć nie mogę, oczu nigdzie indziej nie chcę podnosić, jak tylko na ciebie, nikogo znać nie chcę, przeklinam godzinę, kiedym się na tę ziemię pojawił, przeklinam swoje życie, rodziców, że mię na ten świat wydali.. Ty mię nie widzisz, znać ledwie chcesz, tak tylko ciągle jak dziś oczy wypatrujesz za wodę czy on nie wraca. Nie wróci, nie wróci, ja ci to mówię! Opamiętaj

Marek Antoni Wasilewski

Zachód

Dobrze jest zaszyć się w żarnowce,
Zasłuchać się w grzechotki strąków,
Kiedy na wzgórzach dzwonią owce
I krowy pasą się na łąkach.

Czekasz na zachód jak myśliwy
Ukryty za pagórkiem gąszczu,
Gdy słuch twój wyostrzony przywykł
Do bzyku pszczół i brzęku chrząszczy.

Duszna i słodka woń łubinu
Wpada w twe półrozdęte nozdrza,
Patrzysz na piasek — skład bursztynów,
Jak go zalewa język morza.

Niepokój ginie jak autobus
Poza zakrętem białej szosy,
Skąd gejzer pyłu się wydobył
I przykrył zbóż zmierzwione kłosy,

Gdy oto nagle słońce tonie
W wodzie jak w upłynnionym niebie
I morze jak łubinów płomień
Przesiąka żarem aż po głębię.

Zrywasz się z krzaków jak po strzale,
Kiedy zwierzyna pada w skoku
I patrzysz, patrzysz coraz dalej
Jak całe niebo płonie wokół.

Chmury się palą, póki kłęby
Nie spłoną jak liliowe wrzosy,
Aż wreszcie wzrok jak miecz zagłębiasz
W wysmukłe drzewa brzegów szosy.

Umiera fiolet jak bzyk pszczeli,
Tylko się łubin błyszczy złoto
I z między chmur przez kilka szczelin
Wycieka mroku mętny potok.

się, wyjdź za mnie. I mnie i tobie inaczej będzie. Dam dziecku nazwisko, będę kochał jak swoje. Tylko tamtego zapomnij...

Głos mu się załamał, zatrząsł. Zamilkł, głowę opuścił. Kobieta długi czas patrzyła na niego. We wzroku jej malowała się ni to pogarda ni to współczucie. Gdy Jan podniósł wreszcie oczy, dostrzegła, że są wilgotne. Powstała wolno z miejsca. Patrzył na nią, na jej zgrabną, wysmukną figurę, rysującą się dokładnie pod zarzutą obcisłej spódnicy i luźnej bluzki. Bose jej nogi ostro wcinały się w jasny piach brzegu, napięte mięśnie łydek i uda tworzyły strzelistą linię, wpadającą w wąską kibić. Pierś pod wpływem gwałtownego ruchu przy powstaniu, czy też może wzruszenia wywołanego swoimi poprzednimi słowami i wybuchem Jana, podnosiła się gwałtownie, nierównym, przyspieszonym oddechem.

Gdy tak przenosił wzrok w górę, zatrzymał go wreszcie na jej twarzy. Było w niej coś jakby wyzwanie losu, jakby też duma i pewność siebie, swego uroku. W tych pięknych, prostych rysach, w ostrym zarysie białego, jak się to prawie nigdy na wsi nie zdarza, czoła, w trójkątnych łukach brzwi, w spojrzeniu na niego skierowanym ciemnobłękitnych oczu, w drgającym u nasady nosie i zaciśnięciu warg wyczytał jasno wyrok na siebie. Było w tej twarzy wszystko. Była pycha i pogarda dla świata, była tęsknota i zapamiętanie w swoim uczuciu, był tragizm może jej doli, ale nie było krzty współczucia, cienia uczucia dla niego, mgiełki najlżejszej zrozumienia i zbliżenia do jego serca. Nie potrzebowała już nawet mówić tych słów, które jednak wyrzekła, a które przyjął tylko jako potwierdzenie swych sądów sprzed chwilą, gdy patrzał na piękno jej postaci i widział jak piękno to ucieka bezpowrotnie od niego. Mówiła początkowo wolno, w zamyśleniu, ale wzrok jej już odbiegał daleko, mimo, że patrzyła jeszcze na niego.

— Przyjdzie, czy nie przyjdzie, to moja rzecz i wara komu do tego. Tak jak wara do Halinki. To jego dziecko i wydałabym je na świat wbrew wszystkiemu i wszystkim. Choćbyście mnie wyklęli, wypędzili precz od siebie, choćby mnie także i Bóg i diabeł od siebie odpędził! A niczyją inną niż jego nie będę! Tak, mogę mieć bękarta jak mówicie, ale on dla mnie będzie zawsze bardziej prawym dzieckiem, niż to, które zrodziłoby się w małżeństwie, uznanym przez Boga i ludzi, ale w którym nie ma miłości. Bo miłość daje mi to prawo. I nikt mi go nie zabierze...

Zatrzymała się chwilę, zdyszana, purpurowa teraz prawie z gniewu i oburzenia:

— Ja też kocham, nie wiadomo kto mocniej. Tyle lat znosiłam obelgi i wyzwiska. Od kurw mnie wyzywaliście, dziecko moje od bękartów. Śmiałam się wam w twarz. I będę się śmiała. Bo to co czuję, co mnie boli, to moja tylko rzecz, i nikomu nic do tego. Mówię wam to tylko jako odpowiedź na wasze lamenty, jakimi mnie zalewaliście przed chwilą. Ja, baba, kobieta, umiem kochać i cierpieć sama, bez płaczów i wyrzekań. Mówicie, że mój nie przyjdzie. Ja wierzę, że się pojawi, ale może macie rację właśnie wy. A mimo to ja będę na niego czekała. I w niczyim łóżku więcej spać nie będę, ze ślubem czy bez! I oczu płaczących nie pokażę nikomu, chyba tylko jezioru temu, nad którym rosłam i które mnie karmiło i uczyło tak kochać jak kocham. Ale dla ludzi mam harde czoło, na każde złe słowo dwadzieścia gorszych, na złe spojrzenie jad własnego wzroku. Dla mnie nikt nie miał litości, nie mam ja jej dla nikogo, także i dla was. Nic z tego — głos jej stał się tu łagodniejszy, choć oczy nadal płonęły błyskawicami — nie miejcie nadziei. Ja już jego będę do grobu, choćby mnie nie wiem co miało czekać.. I nie płaczcie mi, nie zawracajcie głowy, bo reszty szacunku się do was pozbędę. Wiem i wierzę, że cierpicie. Ale trzeba umieć cierpieć! Cierpienie to nie zabawa, to coś tylko własnego, nie dla innych.

Obejrzała się w stronę domu, skąd rozległo się w tej chwili dziecinne wołanie:

— Mama, mama...

Jan podniósł znów oczy i zdumiał się, widząc przemianę, zaszłą w twarzy Maryjki. Zaciętość, gniew, oburzenie i złość znikły z niej w jednej chwili, na ich miejsce natomiast pojawił się radosny, pełen miłości i oddania uśmiech, z jakim witała biegnącą ku niej czteroletnią dziewczynkę.

— Tak musiała uśmiechać się i do niego — pomyślał z bólem. Oparł czoło o dłonie i siedział dalej przechylony, nie mając sił, by podnieść się, by coś powiedzieć, zadecydować. Nie miał sił, by zostawać, ale i nie miał, by odejść. Tkwił na rozdrożu. Teraz tylko, czy już na zawsze? Nie wiedział. Wiedział to jeno, że runęło w nim wszystko, co w sobie nieśmiało jeszcze piastował, wszystko, w co wierzył i ufał.

Maryjka tymczasem tuliła do siebie Halinkę, mocno, namiętnie. Znać było, że na to dziecko przerzuciła miłość do ojca, który odszedł, a który był dla niej całym światem. Poza którym nie było już nic...

Mała, z pucułowatymi policzkami, z rozwichrzonymi lokami jasnych włosów jak i u matki, z podobnymi do niej inteligentnymi oczyma, wpatrywała się zdziwiona w siedzącego obok mężczyznę. Takim go jeszcze nie widziała nigdy, gdy odwiedział jej dziadka. Zawsze chmurny, zdobywał się jednak na jakieś słowo dla niej, wziął nawet raz czy drugi na kolana, kiedyś przyniósł słodką bułkę, a drugim razem cukierka. Dziś nawet się nie odezwał. Podbiegła do niego, wymykając się z objęć matki.

— Proszę mnie pocałować — rzekła rezolutnie.

Jan chwilę się wahał, zdziwiony, zaskoczony niespodziewanym żądaniem dziecka. A potem porwał je gwałtownie w pół, przechylił ku rumianemu buziaczkowi swoją źle ogoloną, szorpatą twarz, i począł okrywać małą pocałunkami, mocnymi, twardymi, kolącymi, aż dziecko wreszcie z piskiem wyrwało się z jego objęć. Wystraszony, czy nie zrobił jej krzywdy spoglądał za małą. Nie widział w tym momencie spojrzenia Maryjki. W oczach jej pojawiły się ciepłe, ludzkie błyski, zalśniło siłą powstrzmywane wzruszenie. Odwróciła twarz i jakimś drgającym głosem odezwała się do córeczki:

— Chodź do domu, mama da ci jeść...

Jan patrzał za odchodzącymi ponurym wzrokiem. Potem przeniósł wzrok na piętrzący się w wodzie stos bielizny, powstał ciężko, jak człowiek niezmiernie zmęczony, niezgrabnie odepchnął swe czółno od brzegu; zachybotało się niebezpiecznie, bokiem wysunęło na otwartą przestrzeń...

Nie wiedział sam, jak spędził ten dzień. Gdzieś wyciągał i zastawiał sieci, potem wrócił do domu, pomagał siostrze naprawiać niewód. Milczał, nie odpowiadał na pytania, pogrążony w zadumie. Nie zwrócił nawet uwagi na słowa Stefana, gdy powiadomił go, że zjechała do pobliskiej gminy komisja ze Zjednoczenia rybackiego dla jakichś pomiarów, że projektują ponoć w pobliżu założyć stację Zjednoczenia... Co go to mogło teraz obchodzić. Oprócz ostatecznego przygnębienia po tym co usłyszał dziś od Maryjki, a co, wiedział, było nieodwołalne, było końcem, gnębiło go jeszcze jakieś niejasne przeczucie, że to jeszcze nie wszystko, że czekają go dalsze przeżycia, że jeszcze swojej miarki nie wypił do dna...

Nad wieczór, kierowany jakby nie własną wolą, wbrew chęciom i jakiemukolwiek rozsądkowi, podniósł się z zydla, na którym siedział od paru godzin w głuchym mliczeniu, nacisnął mocno czapę na uszy i pociągnął przed siebie starczym, zmęczonym krokiem, zakrywany miłościwie przed oczyma ludzi przez zapadający zmrok. Zmierzał do chaty ojca Maryjki. Gdy był już blisko, przyśpieszył kroku. Znów zatargał nim jakiś niepokój.

W mroku rzucanym przez rosnące gęsto przy drodze wierzby omal nie wpadł na jakiegoś człowieka. Poznał Skrzypczaka. Stary zdążał gdzieś szybkim krokiem.

— Dokąd to? — zatrzymał go Jan.

Skrzypczak przystanął niezdecydowany. Patrzył na Jana, jakby zastanawiając się, co ma powiedzieć. Potem machnął ręką:

— Tobie można. Tyś dobry człowiek. a i Maryjkę kochasz, ja to wiem i widzę. Przed ojcem nie ukryjesz...

Jan czekał niespokojnie.

— Otóż widzisz, dziś razem z komisją rybacką przyjechał ten, no wiesz, jej, ojciec Halinki.. To ten główny, wicedyrektor...

Słuchający go rybak zagwizdał przeciągle.

— Dyrektor? Chyba omyłka. Tamten przecie był tylko podwójcim. Czyżby aż tak daleko zaszedł?...

Mówił to, wiedząc jednak sercem, że to prawda. Tym gorszy los Maryjki. Gdzie taki się zniży do niej... Biedna dziewczyna...

Stary mówił dalej, dysząc ciężko. Jan ani się spostrzegł, że zawrócił i szedł teraz razem ze Skrzypczakiem.

— Ona dowiedziała się od razu, nie wiem skąd. Poleciała tam do niego, ubrała się w co miała najlepszego. Wróciła późno, nad wieczór, przed jakimiś trzema godzinami. Zamknęła się w izbie. Zajrzałem przez okno. Strach powiedzieć! Tarzała się jak zwierz po ziemi, gryzła sobie ręce, ale cicho, ani jękła nawet. Wszystko porwała na sobie... Po jakimś czasie wyszła do mnie, już przebrana. Anibym po niej co poznał, że bym nie widział. Tylko blada była straszliwie. Nic nie mówiła, zjadła nawet cokolwiek. Potem tak odezwała się do mnie: — Tatku, ja wychodzę. Wiesz, przyjechał Andrzej. Nie poznawał mnie. A potem wyśmiał, gdy mu powiedziałam o dziecku. Odtrącił, kazał iść precz. Ale tatku, ja wiem tylko, że on już żadnej miał nie będzie, tak, jak ja nie chciałam mieć innego...

Skrzypczak urwał na chwilę Zmęczony, dyszał z wysiłkiem. Potem ciągnął dalej:

— Nie mówiła nic więcej. Siedziała jeszcze w domu, ściskała Halinkę tak mocno, że mała aż zapłakała. A potem raptem zerwała się i poleciała gdzieś nad jezioro. Wybiegłem z tyłu, była już w czółnie. Kierowała się na drugą stronę, jakby miała zamiar dostać się do gminy. Przez jezioro przecie najbliżej...

Nie mogłem strzymać, boję się o nią, wyleciałem na dwór, sam nie wiem, co robić...

Jan nie wyrzekł ani słowa. Chwycił jeno starego pod ramię i prawie biegnąc, ciągnął go za sobą, nad jezioro. Dobiegli tam zadyszani, Skrzypczak z wysiłku aż się słaniał na nogach. Jan już spychał tymczasem łódź na wodę. Jeszcze chwila, a mknęli przez jezioro w kierunku tym samym, w jakim udała się niedawno Maryjka. Wiosła aż się gięły, tak silnie wpierał je w wodę młody rybak. Za nimi zostawała wzburzona smuga wodna, podobna tej, jaką ostatnie wypadki i przeczucia czegoś nieznanego, co nadchodzi, żłobiły w ich duszach...

Wkrótce łódź z siłą zarzyła się w piasek przybrzeżny. Jan wyskoczył pierwszy i nie czekając na starego, pędem pobiegł w rozwartą ciemność...

Eugeniusz Paukszta

Czy reforma kluniacka XX wieku?

(dokończenie ze str. 2-giej)

nie zbyt zasklepionych, zbyt oderwanych od życia. Zasadą staje się, by nowoczesne nabożeństwo przestało być zbiorowiskiem indywidualnych przeżyć religijnych, przyjemnie podniecanych muzyką kościelną. Nie rezygnując bynajmniej z pomocy wrażeń artystycznych, odcinają się jednak dzisiaj księża francuscy od tych niesmacznych, a niestety często spotykanych tradycji, czyniących z nabożeństw koncertowe popisy.

„Staraliśmy się, tak jak wielu innych, notuje jeden z księży, uczynić nabożeństwa bardziej dostępne dla ogółu. We wszystkich nabożeństwach bierze udział dwóch księży — jeden celebruje, drugi tłumaczy lub komentuje. Wspólny dla wszystkich mszał pozwala współuczestniczyć bardziej harmonijnie. Zwracamy specjalną uwagę na ceremonie chrztu, ślubu i pogrzebu — to właśnie okazje, by przypomnieć przypadkowym nieraz uczestnikom o wielkich prawdach życia i śmierci, o pięknie sakramentów".

Okazuje się, że przystosowując się do potrzeb współczesności Msza św. wspólnie recytowana w języku ojczystym przez uczestników wobec księdza odprawiającego Ją twarzą do zebranych, niemal że pośród nich odnajduje swe zagubione jakoś, uwspólniające znaczenie Okazuje się, że zniesienie wszelkich parafialnych obyczajów pieniężnych, wynikających z mieszczańskiego stylu myślenia otwiera drogę ku prawdziwemu miłosierdziu i ofiarności. Okazuje się, że odbarwienie kazań z zawiłości i erudycyjnych popisów, daje Bożemu słowu inną świeżość i potęgę.

Przechodząc przed bramą jednego z kościołów paryskich zanotowałem między innymi takie charakterystyczne tytuły kazań: „Dzieciaki — czyje to właściwie?", albo też „Bóg i aprowizacja", świadczące same przez się o oryginalnym stylu nowoczesnej homiletyki.

Wśród tych dogłębnych przemian załamał się nawet tak charakterystyczny dla duchowieństwa świeckiego indywidualizm działania. W obliczu skomplikowanych i niezwykle trudnych zadań nowoczesnego duszpasterstwa praca zespołowa, ekipy apostolskie czy misyjne zastępują przeważnie dawny tradycyjny podział kompetencji między proboszczem a wikarym.

„Jeden z nas jest proboszczem, ale tylko dla formalności, tłumaczył mi zwolennik takiego „kolektywu". W rzeczywistości żyjemy zespołowo — w całkowitej równości. Pracujemy wspólnie, nawet kazania przygotowujemy zbiorowo. Decyzje pobieramy większością dwóch trzecich głosów, a przeważnie jednogłośnie. Od dwóch lat system ten działa bez zastrzeżeń".

Nie potrzeba tu się rozwodzić nad poważnymi konsekwencjami, jakie mogłyby pociągnąć za sobą zakorzenienie się zasady zespołowego działania nie tylko na odcinku mentalności duchowieństwa świeckiego ale i także w niektórych formach życia Kościoła.

Można by zaryzykować powiedzenie, że niespodziewana śmierć księdza Godin jest faktem zrozumiałym w całokształcie zjawisk odrodzenia katolickiego we Francji. Dane mu było przez Opatrzność rzucić i rozwinąć pewną konkretną myśl, wzbogacającą niezmiernie możliwości nowoczesnego apostolatu. Nie dane mu było realizować tego dzieła. Dziś na całej „Mission de Paris" ciąży odpowiedzialność za dalsze prowadzenie tego dzieła, nie zaś tylko na jednej, wyjątkowej jednostce. Kadry jednak były już przygotowane długoletnią, uprzednią pracą. Ksiądz Godin żył tak długo, jak długo był niezbędny w roli inicjatora. Niestety, dla otoczenia nie została mu przyznana rola wykonawcy. Zapewne księdza Godin lepsze czekało zadanie.

Na terenie Francji, czy to w zaciszu seminariów, czy w znojnej pracy parafialnej, czy wreszcie w twardej służbie księży-robotników wykuwają się nowę formy katolickiego działania dla nowych czasów, dla nowych form życia społecznego. Rzecz oczywista wyrastają one na tle specyficznych francuskich stosunków. Byłoby śmiałością prorokować, że formy te dadzą wzór uniwersalny dla przyszłego życia Kościoła. Nie posuwając się więc tak daleko, wydaje się jednak, że można dziś stwierdzić, iż ze wszystkich społeczności chrześcijańskich, jak dotąd Francja poszła najdalej w dziele reformy metod duszpasterskich. Biorąc zaś pod uwagę, że treść tej reformy nie tylko nie abstrahuje, ale z całą konsekwencją i odwagą wkracza na teren aktualnych problemów tak psychicznych jak i socjalnych, można stwierdzić z całą pewnością, że każdy wysiłek dążący ku odnowie, winien się mocno oprzeć na zdobytych tam doświadczeniach i osiągnięciach.

Wojciech Kętrzyński

Jan Dobraczyński

Powieść o wielkim piecu i o nocnej zmianie

AUTENTYZM I FIKCJA

Pisałem już kiedyś, na marginesie recenzji ze „Stalingradu" Pliviera, o współczesnej „powieści z pogranicza". Niewątpliwie powieść dzisiejsza szuka dla siebie nowej formy. Typ powieści dotychczasowej, niezależnie czy była to powieść z intrygą — w typie Walter Scotta — czy powieść psychoanalityczna, miał swe ustalone konwencje. Należała do nich przede wszystkim fikcyjność dramatu literackiego. Jeżeli nawet w takiej to a takiej powieści Stendhala odkrywamy prawdziwe przeżycia jej autora, jeżeli w takim to a takim opowiadaniu Conrada znajdujemy którąś z jego własnych przygód morskich, zawsze ta prawda bywa zawoalowana, zamaskowana, ukryta. W literaturze z końca 19 stulecia jeden tylko pisarz pisał naprawdę o sobie: Leon B'oy. Jeżeli w swym „Le Desesperé" ukrył się za postacią Kaina Marchenoir, była to jedynie nieśmiałość (tylko, że Bloy i nieśmiałość?!) debiutanta. Potem bardzo szybko porzucił pozę i cudze nazwisko. Począł pisać jawnie o sobie. Dalsze książki — to osiem tomów pamiętników — osiem tomów powieści o Leonie Bloy.

W wieku 20 ukazuje się więcej pisarzy piszących o sobie. Po pierwszej wielkiej wojnie mamy nawet do czynienia z prawdziwą falą autentyków. Piszą lekarze, chłopi, bezrobotni, piszą kryminaliści, złodzieje, prostytutki. Ich przeżycia pasjonowały początkowo czytelników — lecz prędko poczęły nudzić. Powieść, przeszedłszy ze świata całkowitej fikcji do świata całkowitej rzeczywistości utraciła swój wielki walor: świadomą konstrukcję. To było tak jak z pierwszym filmem, który wyrzekł się tekturowych dekoracji na rzecz plenairu, czym zafascynował publiczność; potem jednak musiał znowu poświęcić w dużym stopniu fotografię natury — na rzecz dekoracji. Okres międzywojennego dwudziestolecia jest okresem walki między powieścią tworzoną, a przeżyciami opisywanymi. Renesans, jaki się dokonał w czasie drugiej wojny światowej, renesans dobrej fabularnej powieści w typie powieści z końca dziewiętnastego wieku, jest nie tyle dowodem niechęci do autentyzmów, ile pragnieniem oglądania ich w formie obrobionej — nie zaś w surowym stanie pamiętników i wyznań. Powieść powojenna, tam, gdzie nie jest ona nawrotem do reguł czystej konwencji, stanowi albo próbę przerzucenia daleko posuniętego autentyzmu w świat fikcji, albo, odwrotnie, przykrawanie fikcji do autentyzmu.

Przykładem na rodzaj pierwszy może być najpopularniejszy dziś pisarz na zachodzie Europy, Graham Greene. W swych dwóch powojennych powieściach: „The Power and the Glory" oraz w „The Heart of the Matter" („Sedno sprawy") pisarz tworzy dramat fikcyjnych bohaterów, rzuca go jednak na tło doskonale przez siebie poznane i przy olbrzymiej dozie realizmu odtworzone. Zarówno Meksyk w powieści o księdzu, jak zachodnia Afryka w historii komisarza Scobie'go są czymś więcej niż krajobrazem: stanowią one odrębny, lecz ważki składnik dramatu ludzi, posiadają moc oddziaływania na kształtowanie się losów bohaterów. Napór otaczającego świata w obu powieściach Greene'a można tylko porównać z conradowskim „Jądrem ciemności". Jest to naprawdę autentyzm (Greene był zarówno w Meksyku, jako wysłannik „Times'a", jak podczas wojny na zachodnim wybrzeżu Afryki) wmontowany w całej swej plastyczności w dramat stworzonych postaci. Może dlatego tracą one charakter fikcyjności, że aż autor „Sedna sprawy" musiał we wstępie do swej powieści zapewnić swoich czytelników, iż żadna z przedstawionych postaci nie jest postacią istniejącą w rzeczywistości.

Ten typ autentyzmu, domontowanego do fikcji, jest czymś znanym i poprzednio. Wydaje mi się natomiast, że autentyzm przekształcony w fikcję jest formą literacką dość nową. Z utworów o rozgłosie światowym, reprezentujących tego rodzaju literaturę, należało by przykładowo zacytować „Stalingrad" Teodora Pliviera i „Dwudziestąpiątą godzinę" Konstantyna Wirgila Gheorghiu.

Plivier był pod Stalingradem, widział własnymi oczami klęskę armii Paulusa. Jeżeli ukrywa siebie — i swoje myśli — pod postaciami Gnotkego i Vilshofena, robi to wyłącznie dla ratowania pozorów literackości utworu. Gheorghiu przeżył sam, jakoby, epopeę obozów koncentracyjnych, którą zawarł w swej dyszącej rozpaczą książce. Jego trójka bohaterów: Johann Moritz, Trajan Koruga i Eleonora West są „rozłożonymi na głosy" myślami autora. Z książki Gheorghiu przebija autentyk, tam, gdzie autor niewątpliwie był i czego sam doświadczył: jak obóz dla Żydów rumuńskich, więzienie węgierskie, obozy amerykańskie. Ani Niemiec ani Rosji pisarz zdecydowanie nie rozumie; w partiach książki, mówiących o losach jego bohaterów na terenie Niemiec lub Rosji, Gheorghiu buduje sceny trącące tanim banałem. Na marginesie trzeba dodać, że ta okrzyczana na zachodzie książka, poza dramatycznością swej tezy, posiada raczej wątpliwe walory literackie.

PRAWDZIWY BOHATER PAUKSZTY

Świeżo wydana, druga z kolei, powieść Eugeniusza Paukszty „Trzecia zmiana"*) ma wiele cech — w swej konstrukcji — zbliżających ją do typu reprezentowanego przez obie wymienione powieści Pliviera i Gheorghiu. Paukszta nie autentyzm włącza do fikcji powieściowej, ale buduje powieść z autentycznego przeżycia. Pozornie może się to wydać obserwacją całkowicie błędną; na pozór mamy powieść, czy może nawet długą nowelę, o nieco przyciężkiej ekspozycji, lecz za to pełnią życia w momencie, gdy akcja poczyna się rozwijać. W gruncie jednak rzeczy, przyjrzawszy się wszystkiemu uważnie, dojdziemy chyba do przekonania, że to nie historia inżyniera Korczaka i „pełności jego człowieczeństwa", ale historia wielkiego pieca jest dla pisarza tematem pierwszoplanowym. Paukszta swoją hutę widzi i włącza się w niespokojny rytm jej życia. Możemy mieć do niego pretensję, że bijąc nas raz po raz po głowie fachowymi wyrażeniami, nie zawsze pamięta, by nam daną, dziwnie brzmiącą funkcję czy maszynę uplastycznić. Pominawszy jednak ten zarzut, obraz, jakim operuje — lepiej może: którym nas otoczył, zwolna poczyna nas także wciągać. Przestajemy się zastanawiać nad zbyt tylko dwubarwnym, czarno-białym kolorytem bohaterów, przestajemy śledzić za intrygą, której autor zresztą, i na szczęście, w pełni nie objaśnił. O wiele więcej interesuje nas mechanizm

EUGENIUSZ PAUKSZTA

pracy pieca, a nie przyczyna jego awarii. I w tym się mieści przede wszystkim wielki sukces Paukszty. Bo zainteresować czytelnika powieści procesem hutniczym, zbliżyć go do ludzi pracujących, to coś więcej niż narysować wycinek życia arcyszczęśliwego inżyniera.

ZBIOROWOŚĆ

Zresztą pisarz, poświęcając, niewątpliwie gwoli pewnej konwencji, tyle miejsca Korczakowi, szczęśliwie nie promuje go na jedynego ludzkiego bohatera powieści. Blady Korczak i czerwony, buchający żarem piec byli by nierównymi rywalmi. Korczak szczęśliwie gubi się w tłumie robotników. Bohaterami książki są: piec i pracująca przy nim ekipa. Trzecia czyli nocna zmiana huty.

Znowu porównanie: przypominają mi się dwie powieści, których bohaterem jest zbiorowość. Jedna to Forestera „The ship" (w polskim przekładzie wydana przed kilku laty „Bitwa o Maltę"), druga W. Katajewa „Naprzód czasie!". W pierwszej bohaterem jest okręt wojenny i jego załoga, w drugiej — ekipa przemieszywaczy cementu. Treścią obu książek — wykonywanie przez zbiorowość określonego zadania. Napięcie dramatyczności u Katajewa wzmożone jest jeszcze warunkami rozgrywającego się wyścigu pracy.

Paukszta nie zdobył się na całkowitą rezygnację z głównego bohatera. Szkoda. Powieść wyszłaby na tym niewątpliwie dobrze. Bo tam wszędzie, gdzie pisarz poświęcił obraz losów jednostki na rzecz obrazu działań zespołu — tam mamy sceny najmocniejsze. Do takich niewątpliwie należy moment przybycia żon robotników do fabryki, przywołanych głosem syreny alarmowej, i druga, doskonała w napięciu scena, gdy tłum robotników, przed chwilą rozpływający się w słowach uznania dla inżyniera Korczaka, gotów jest zmiażdżyć go, gdy zakazuje wstępu do zagrożonej gazami hali.

Paukszta, jak się zdaje, ma ambicję, by sięgać do tematów najbardziej dziewiczych. Niewątpliwie jest to ambicja zdrowa i cenna. Pokazawszy nam na gorąco podchwycony w „Trudzie ziemi nowej" świat przesiedleńców z Wileńszczyzny na pojezierzu mazurskim, w „Trzeciej zmianie" wprowadza nas do huty, zapowiadając jednocześnie powieść z życia rybaków. W tej różnorodności kryje się niewątpliwie pewne niebezpieczeństwo. Wiemy, że na ogół największe dzieła literackie powstawały z przepracowania jednej epoki i że najwięksi pisarze nieraz we wszystkich swoich utworach byli malarzami jednego tylko środowiska (Balzac, Mauriac).

Sygnalizując jednak niebezpieczeństwo, nie twierdzimy, że już ono zagraża Paukszcie. Wręcz przeciwnie — pisarz w obu swych książkach dał dowód wielkiej skrupulatności i solidności. Opisywane przez Paukształę środowiska nie są mu na pewno znane z powierzchownej obserwacji. Powiedziałem, że w powieści piec hutniczy jest głównym bohaterem. Nie można nie dodać, że Paukszta zna dobrze swego bohatera. Nie wiem ile godzin Paukszta spędził przy nim, to pewne jednak, że musiały to być godziny wielkich, niezatartych przeżyć. Jeżeli powiedziałem, że powieść typu „Trzeciej zmiany" wywodzi się z reportażu o dobudowanej fabule, to muszę także stwierdzić, że pisarz w drugiej swej książce, rezygnuje z wielu reportażowych uproszczeń, jakie zdarzały się jeszcze w „Trudzie ziemi nowej". Paukszta poczyna przeżywać świadomie daną wizję świata.

FORMOWANIE SIĘ PISARZA

Wydaje mi się, że istnieją trzy etapy powstawania pisarza. Pierwszy etap — to start dokonywujący się najczęściej pod wpływem parcia posiadanych doświadczeń i przeżyć. Literackie debiuty są mocne wagą materiału zawartego w piszącym. Można by przy tym powiedzieć, że pisarz, rozpoczynający karierę literacką, ma „za dużo" materiału. Szafuje nim więc szczodrze, nie myśląc o tym co zostanie na drugą książkę. Pisze szybko, nieopanowanie, z dygresjami. Rzadko umie się utrzymać w ryzach. Krytyka, oceniając książkę debiutanta, bardzo często popełnia ten błąd, że ocenia ją według barwności materiału a nie według wysiłku, jaki włożył piszący, by nad nurtem swych przeżyć zapanować.

Nadchodzi jednak etap drugi. Pisarz nie jest już pociskiem rozrywanym siłą znajdującego się wewnątrz materiału wybuchowego. Pierwsza książka opróżniła posiadane zasoby doświadczeń. Czasami materiał był tak bogaty, że starczył jeszcze i na drugą książkę. Ale przy trzeciej czy wreszcie czwartej pisarz czuje w sobie pustkę. Następuje kryzys — kryzys, którego skutkiem jest zamilknięcie lub „skończenie się" tylu pisarzy, doskonale się na pozór zapowiadających.

Oczywiście — nie można całe życie tworzyć na podstawie materiału zebranego w czasie, zanim się siadło po raz pierwszy do biurka. (Są naturalnie wyjątki: taki np. Conrad). Zwykle pisarz, żeby być pisarzem, musi nauczyć się przeżywać i swe ciągle nowe przeżycia realizować w książkach. Jest to niewątpliwie sztuka, ale jak mi się zdaje, w tym etapie dopiero pisarz staje się naprawdę pisarzem. Pisarz jest człowiekiem, który musi nie tylko umieć patrzeć na świat, ale i świat przeżywać. Przeżywać świadomie.

Jeżeli taka konstrukcja rozwojowa jest słuszna, to trzeba powiedzieć, że „Trzecia zmiana" Paukszty wydaje się taką próbą zapanowania nad kryzysem: jest świadomym wysiłkiem pisarza przyswojenia sobie nowego zupełnie obrazu świata i wczucia się weń w pełni.

Kiedyś — dwa lata temu, na zjeździe ZZLP we Wrocławiu — mówiło się o projekcie Ministerstwa Kultury wysyłania pisarzy do fabryk i warsztatów pracy. Po referacie zgłosiłem się do referenta, pana ministra Sokorskiego z uwagą, że nie należy myśleć o wysyłaniu pisarza w roli obserwatora — zwłaszcza z obowiązkiem natychmiastowego napisania o tym, co zobaczył — ale, że raczej należałoby zatrudniać literatów przez parę dni czy nawet tygodni w danej fabryce — zatrudniać faktycznie, oczywiście w funkcji, która by nie spowodowała katastrofy całego przedsiębiorstwa — aby pozwolić pisarzowi nie tylko zobaczyć dany proces, ale go także przeżyć. W dalszym ciągu będę się upierał, że pisarz który tylko jest widzem pewnego procesu, w najlepszym razie zdolny jest napisać reportaż, nie napisze jednak powieści.

Paukszta zrozumiał to widocznie. Poszedł do huty, i jeśli w niej nie pracował, musiał w niej być czymś więcej niż obserwatorem. Nie tylko patrzył — przeżywał także niepokój spustu wielkiego pieca.

Temu zawdzięczamy, że do literatury polskiej przybywa powieść o walorach całkiem nowych. Rzecz jasna, że walory te nie wyrównują pewnych braków. Obserwacje psychologiczne ludzi Paukszty są w dalszym ciągu mało przekonywujące. Pisarz dość jeszcze nieśmiało zrywa z pozostałościami konwencji. Czasami chce moralizować i to moralizować poprzez słowa, a nie przez wydarzenia. Mam jednak uczucie, że są to słabości, dające się przezwyciężyć. Do walorów natomiast trzeba, oprócz cech już wspomnianych, zaliczyć jeszcze wcale nieźle trzymającą się kupy konstrukcję — tę konstrukcję, która jest piętą Achillesową powieści polskiej.

ALE STOSUNEK DO KATOLICYZMU?

Ale trochę na marginesie recenzji z powieści Paukszty chciałbym poruszyć inną jeszcze sprawę. Książka Paukszty, ukazując się w wydawnictwie katolickim, otrzymuje trochę automatycznie charakter powieści katolickiej. Czy jednak nie należało by się zastanowić — zwłaszcza na tle ech dyskusji na zjeździe młodych polonistów — o ile taki przymiotnik jej przysługuje?

Sprawę postawiłem kiedyś w ten sposób: powieścią katolicką jest każda powieść, niezależnie od nastawienia i wyznawanego przez autora światopoglądu, w której struktura świata odpowiada strukturze chrześcijańskiej. Autor — jak to nieraz miało miejsce z Żeromskim — mógł odejść od katolicyzmu, a przecież zachował sposób myślenia katolicki. (Bywa zresztą odwrotnie, gdy pisarz, upierając się przy pozycji pisarza katolickiego, katolickiego światopoglądu nie rozumie). W ten sposób do literatury katolickiej możemy — a raczej nawet musimy — przyjąć wszystko, co nie jest w świadomej walce z katolickim poglądem na budowę świata.

Wśród tej jednak szeroko pojętej literatury katolickiej istnieje li-

---

*) Eugeniusz Paukszta „Trzecia zmiana" wyd. Albertinum, Poznań, 1949, str. 229.

teratura, gdzie już mamy nie tylko światopogląd, ale i wyraźną problematykę katolicką. W swym dobrym i ciekawym artykule („Dlaczego nie ma?" — „Dziś i Jutro" nr 3) — K. Koźniewski stara się dociec przyczyny, dlaczego tego rodzaju literatury nie było w Polsce do lat ostatnich i dlaczego jej miejsce zajmowała literatura „endecko-obskurancka". Koźniewski stawia tezę, że powodem tego był brak intelektualnego katolicyzmu. Na tezę można się od biedy zgodzić, trzeba tylko od razu powiedzieć, że ten brak podejścia intelektualnego sięga głębiej niż problematyka „endecka". Okres dwudziestolecia wiązał się ściśle — o wiele ściślej niż lata po drugiej wielkiej wojnie — z przeszłością, kształtował się bezpośrednio pod wpływem dwóch zjawisk, sięgających wieku 18. Zaliczam do nich: walkę o niepodległość i wtórne skutki kontrreformacji.

W walce o niepodległość katolicyzm był przez długie lata nieodłącznym sojusznikiem polskości. To z tego wywodzi się, że „dobre myślenie" polskie stawało się „dobrym myśleniem" katolickim. Niewątpliwie formułki „dobrego myślenia" są dramatem każdej ideologii. Idea, która się poczyna przemieniać w formułki — przestaje być czymś żywym. „Litera zabija", prowadzi do skostnienia. Zawsze tak będzie, że łatwiej jest zaprzeczyć dogmatowi, niż uświęconej przez powtarzanie formułce.

Teoretycy narodowej demokracji znali siłę formułek i dlatego przyjmowali je, bez troski o to, że często prowadziły one do sprzeczności z doktryną katolicką. Takie np. „Myśli nowoczesnego Polaka" czy inne pisma Dmowskiego z tego okresu, nie zrywając z szyldem katolickim, podważały bardzo głęboko światopogląd katolicki. Czyż nie tym właśnie była teza o dwóch moralnościach: indywidualnej i zbiorowej? Potem Dmowski wycofał się z tego stanowiska. Ale łatwiej jest zrobić wyznanie wiary niż je zrealizować. Wyjście z dylematu nie było łatwe i prowadziło przez okres jałowości. Także jałowości artystycznej.

Dwudziestolecie przyniosło ferment katolicki, był on jednak zbyt świeżej daty, by mógł sięgnąć do struny artystycznej. Jak w ekonomice klasycznej istnieją struny rozmaitej czułości: płace, ceny hurtowe, ceny detaliczne itd., tak samo w świecie kultury mamy do czynienia ze strunami z rozmaitą ławością odpowiadającymi na doknięcia z zewnątrz. Wydaje mi się, że najczulszą struną jest publicystyka literacka, potem z kolei — poezja, potem proza, wreszcie dramat. Na uderzenie w strunę prozy katolickiej nie było już czasu w dwudziestoleciu (rzecz jasna abstrahując od zjawisk pojedyńczych jak np. twórczość Zofii Kossak).

Z drugiej strony jednak trzeba powiedzieć, że powieść z problematyką katolicką nie jest znowu czymś tak bardzo starym. W ogóle powieść nie jest zbyt starą formą wypowiedzi artystycznej. Powieść, we współczesnym pojęciu tego słowa, stworzyła wiek dziewiętnasty. Rozwijała się ona ze skrzyżowania utworu dydaktycznego z romansem fantastyczno - awanturniczym. Zawierała więc elementy fabuły i elementy światopoglądu. W pewnym momencie okazało się, że tania dydaktyka już nie wystarcza — bo nudzi i nuży. Rozwijająca się powieść domaga się, aby w niej autor ustępował swoim bohaterom. Nawet bohater — porte parole autora stawał się kimś nieznośnym. To tylko poprzez realia lub poprzez czyny bohaterów mogła się wypowiadać myśl i tendencja utworu. Wymagało to wypracowania nowych form działania światopoglądowego.

Dziś możemy powiedzieć, że nie było to coś zupełnie nowego. Powieść katolicka współczesna nawiązała w dużej mierze do tradycji utworu literackiego, znanego szeroko w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i w średniowieczu — a niesłusznie lekceważonego w swym wyrazie literackim — do apokryfu. Nie tylko w życiu osobistym — także w literaturze potrzebne jest człowiekowi chodzenie ścieżkami, którymi stąpał Jezus. Współczesna literatura katolicka, będąca poszukiwaniem świętości, zrealizowanej i niezrealizowanej, prawdziwej i zafałszowanej, literatura, której ojcem, jak mi się wydaje należało by nazwać Leona Bloya, liczy zaledwie około 70 lat. Dodajmy przy tym, że Bloy umierał w 1917 niezrozumiany przez współczesnych. Dopiero potem dochodzą do głosu Joergensen, Bauman, Papini, dopiero w latach dwudziestych pojawiają się Bernanos, Unset, von le Fort, Key-Smith, Chesterton, O'Brien, Mauriac, Ghéon, dopiero druga wojna przynosi Greene'a, Waugha, Marshalla...

To, że zostaliśmy wyprzedzeni o dwudziestolecie nie wydaje mi się dlatego czymś tak bardzo tragicznym i godnym pogardy.

Wydaje mi się również, że to nie warunki zewnętrzne stworzyły literaturę katolicką (z katolickim problemem) polską, ale po prostu czas na jej nadejście musiał nadejść.

POCHWAŁA RZECZYWISTOŚCI

Skoro jednak mówimy o powieści Paukszty — nie ma co mówić o powieści z problemem. Tego problemu w „Trzeciej zmianie" nie ma. I jeżeli mam być szczery — uważam to za rzecz zupełnie szczęśliwą. Pojmuję jako przesadę żądanie, aby powieść katolicka była wyrazem najwyższego ideowego napięcia. Problem w powieści katolickiej to — niech mi to będzie wolno wyznać — przede wszystkim sprawa wielkiego cierpienia. Sprawa oszałamiającej walki ze sobą, w którą trzeba z kolei zaangażować czytelnika Sprawa wreszcie tysięcy zwątpień. wątpliwości i skrupułów...

Nie ma najmniejszego powodu, aby każda powieść z tym szła do czytelnika. „Trzecia zmiana" przechodzi z pogodnym obrazem pracy, która pochłania człowieka, lecz pozwala mu także sięgnąć po zwycięstwo.

Autor prawie nie mówi w niej o przeżyciach katolickich. Lecz mimo to światopogląd katolicki jest w niej zaakcentowany na każdej niemal stronie. Przy tym afirmacja wysiłku ludzkiego, pracy ludzkiej, twórczości ludzkiej tworzy z niej pozycję nie mniej wartościową, jak powieść o najgłębszym dramacie duszy ludzkiej. Powieść Paukszty przypomina, że nie wolno nam odchodzić od spraw zwykłych, od spraw dziejących się „na powierzchni", bo one, właśnie one, są prawdziwym wykładnikiem naszego życia. Nasze życie nie jest cieniem na oświeconej ścianie pieczary Platona. Jest rzeczywistością — choć prowadzi do jeszcze pełniejszej rzeczywistości.

Ten charakter powieści Paukszty wydaje się być potwierdzeniem tezy, że jednak dwudziestolecie posiadało powieść katolicką — pomimo, że nie znało w powieści problematyki katolickiej. Oczywiście, że posiadało ją, że wymienię powieści Rodziewiczówny (nie wiadomo dlaczego traktowane dzisiaj przez pewien odłam krytyki co najmniej jak grafomania!) czy Morcinka. Powieść katolicka jest, podkreślam raz jeszcze, czymś szerszym niż literacka problematyka katolicka.

Jan Dobraczyński

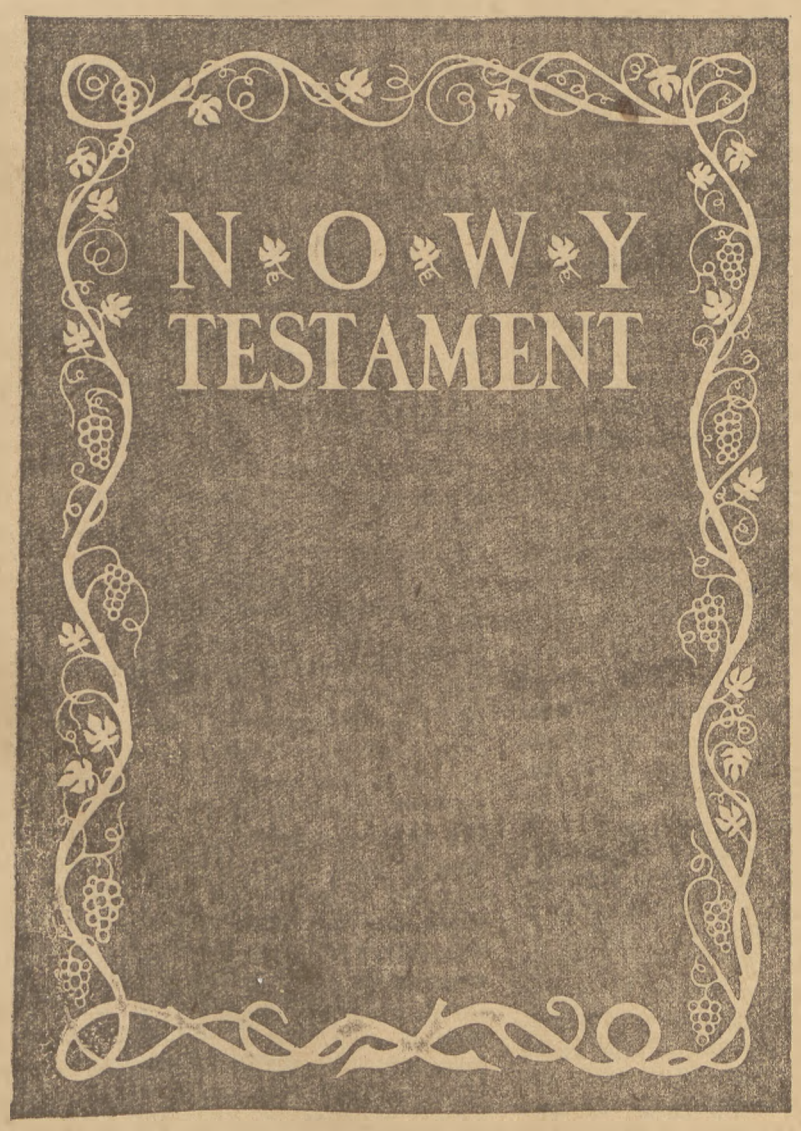

W TŁUMACZENIU KS. DR. EUGENIUSZA DĄBROWSKIEGO
WDANIE DRUGIE
SP. WYD. „P A X"
TRON 1032 CENA 800.—
DLA CZYTELNIKÓW DZIŚ I JUTRO
RABAT 10 PROCENT

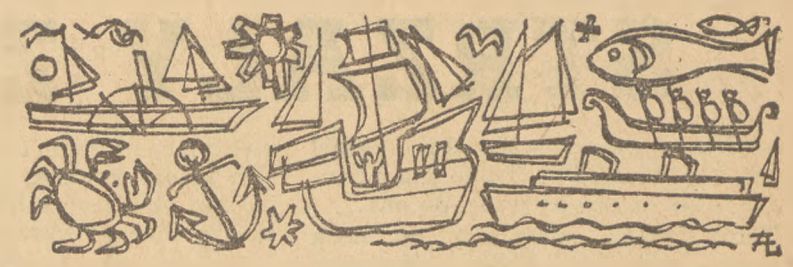

ANDRZEJ ŁEPKOWSKI

Trzy wiersze morskie

I

Mgła —
Kuter puka rytmicznie
w napięty pergamin ciszy.
— Dwa sygnały
jak dwie krople światła
na bibule powietrza.

... Do południa się przetrze! ...
— Głos sternika jest drobny
jak potarcie zapałki.

Od portu porykiwanie syren
wydrąża otwory dźwięku.
Okręt, przepływając,
rozsunie falę jak cyrkiel.
Na łagodnych przechyłach
przypomni się morze
odebrane oczom.
— — — — —
Blisko, dostrzegalny —
maszt wytoczył
krople żywicy i wody.
— Jest śliski jak dorsz.

II

Czuję je ...
— Były dumne
te świątynie płótna,
pękające od wiatru.
— Fontanny lin.
piramidy trapezów i klinów,
— żagle.
Było w nich
skrzypienie dębu o dąb
i kołysanie lasu.
W czarodziejskich zatokach.
Kolorowi
składali im ofiary z żon
i uśmiechów.
W zamyśleniu
opierały zielone wraki
o lądy Robinsonów ...

— Widzę ...
Zarzuciły w morzu
kotwice wyrzeźbione w legendy.

III

— Koralowy dom
wyszczerbiony dymem,
— w tęczach oliwy
cytryna ...
— Czarne słońce na lokomotywie
i wąwóz skrzynek ...
Ludzie wchodzą na statek
zakosami,
jak owce na Giewont.

Beton
wypłynął falą
na spotkanie morzu.
Horyzont zgięty dalą,
z niebem się połączył
w dwie soczewki —
— wypukłą i wklęsłą.
— Pachnie smoła ...
— — — — —
Pod białą turnią elewatora
holownik przycumował
południe
do nadbrzeża.

Jan Dobraczyński

STRZAŁY ZA HORYZONTEM 9)

— Nie myślałem — Krzyś potrząsnął głową i zaśmiał się. — Tylko ona mówiła, że tatuś na pewno wróci do nas...

Teraz dopiero spostrzegł, że obok idzie ta dziewczyna. Miała twarz czerwoną od biegu, usta niedomknięte. Spod warg widać było mocne zęby i różowe dziąsła. Słysząc słowa Krzysia, zaśmiała się. Franciszek nie mógł powstrzymać wewnętrznego skuczu niechęci. Po tym śmiechu poznał ją, widział ją już kiedyś w sklepie Kamińskiego. Źle skrojona bluzka rozchodziła się pod naporem bujnych piersi. Może była wtedy „pod gazem", i to ją ośmieliło, że rzuciła mu wraz z uśmiechem, słowa brutalnej zachęty.

Odruchowo mocniej zacisnął dłoń na ramieniu syna.

Las tymczasem zrzedł. Doszli do szosy. Za nią las ciągnął się daleko. Jeśli do niego wpadną, Niemcy ich już nie dostaną. Lecz przedostanie się przez szosę zależy od tego, czy Kamiński zdusił Niemców przy autach. Należało by się o tym przekonać, wysłać szperaczy. Byłaby to jednak strata czasu. Z tyłu las grzmiał strzelaniną. Niemcy musieli iść za nimi w trop.

— Wszyscy razem skaczemy — wydał rozkaz. — Gotuj się...

Słońce ślizgało się po chropowatej powierzchni, jakby szosa płynęła roztopionym masłem. Jeśli nawet Kamiński ubezpiecza ich z lewa — myślał, — to z prawa jest jednak drugi niemiecki karabin maszynowy, który tylko czeka aż wyskoczą. Więc wszystko polega na szybkości. Niechętnie zdjął rękę z ramienia syna; przesunął się na prawy skraj tyraliery.

— Uwaga, — powiedział. Ludzie przykucnęli. Gwałtownie przecinając niby szablą niepotrzebnie kłębiące się myśli, zawołał: — Skok!

Kiedy w parę chwil potem znalazł się przed furtką gajówki, obok Kamińskiego, było w nim rozpierające piersi uczucie dumy. Niemcy ogarnięci złością bębnili teraz po pustej szosie. Chciało mu się śmiać. Mimo całej niechęci do swego zastępcy, nie mógł się z nim nie podzielić radością z osiągniętego sukcesu.

— Ale się nam udało, panie wachmistrzu! Zanim pociągnęli byliśmy już za szosą. Nikt nawet nie ranny... Ale teraz trzeba prędko zwiewać. Małymi grupkami. Niemcy mogą tu być lada chwila... — Przebiegającym ludziom wskazywał kierunek. — Prędzej! — Zapadali między krzewy. — Panu udało się także? — zapytał Kamińskiego, — co?

— Tatusiu! — zawołał Krzyś. — Chodź już! Prędko!

— Zaraz, idę! Dlaczego pan nie ucieka, panie wachmistrzu?

Był zaskoczony zachowaniem Kamińskiego. Gdy wszyscy wyrywali ile sił w nogach, w głąb lasu, on stał nieruchomo przy furtce, jakby mu się nie śpieszyło.

— Niech książę ucieka... — powiedział pogardliwie zamiast odpowiedzi.

— Niech pan ucieka!

— Tatusiu, nie zatrzymuj się!

— Mam czas...

— Co to za nowa historia? Rozkazuję panu iść stąd natychmiast!

— Tatusiu! Prędzej!

— Proszę księcia — usłyszał obok siebie głos Wojtuli, — Niemcy na szosie! Nie ma chwili do stracenia...

— Niech pan zabiera Krzysia — zawołał.

— Tatusiu! Ja bez ciebie...

— Biegnij z panem Wojtulą. Zaraz was dogonię... — Zwrócił się ostro do Kamińskiego. — Natychmiast niech się pan wycofa...

— Zaraz...

— Nie ma zaraz!

— Właśnie, że jest... O... — ręką w której trzymał pistolet wskazał pod krzak. Franciszek poprzednio nie zauważył, że na ziemi leży człowiek, a nad nim klęczy kobieta, niezgrabnie usiłując mu obwiązać zakrwawioną nogę.— Książę chce go zostawić?

Nie czekając aż mu pomogą, chwycił rannego i dźwignął. Wiedział kogo niesie: był to Szywicki, żołnierz z drugiego plutonu. Franciszek dwa razy wyrzucał go z oddziału za notoryczną kradzież i dwa razy przyjmował na nowo na interwencję Kamińskiego. Kamiński musiał żywić niezwykłą sympatię dla tego chłopaka, skoro dla niego został.

Dziewczyna usiłowała pomóc w niesieniu. Ale ranny począł krzyczeć rozpaczliwie:

— Puśćcie! Puśćcie! Nie mogę! Boli! Puśćcie!

Musieli go położyć z powrotem na ziemi. Spoza drzew słychać już było gardłowe krzyki Niemców.

— Nie ma się co cackać — powiedział nagle Kamiński. Zanim Franciszek zorientował się o co chodzi, wachmistrz przysunął do głowy rannego dłoń z pistoletem. Dziewczyna wrzasnęła i usiłowała odtrącić broń. Ale Kamiński kopnął ją z rozmachem.

— Paszoł!

Znowu wyciągnął pistolet. Ranny zawył:

— Nie zabijaj! Mam matkę! Nie zabijaj!

— Cicho durniu!

— Nie zabijaj! Nie spowiadałem się na Wielkanoc... Nie zabijaj!

Błyskawicznym ruchem Franciszek wydarł Kamińskiego pistolet z ręki.

— Co robisz?

— Co robię? Nagle z wściekłością rzucił się na Franciszka. — Robię, co chcę! Ty mi tu nie rób książęcych min! Widzicie go... Do diabła! Oddaj broń! Muszę go zabić. On wie, gdzie mam forsę. Jak wygada, to ja znowu tylko koniom pod ogon... Oddaj! Ty, książę, psia twoja mać! Oddaj! On wie wszystko co ja mam, żeby być człowiekiem... No, oddawaj! Ty, psi książę! Tobie, choć znowu wszystko przerżniesz w karty, nową forsę w zębach przyniosą...

Nagle tuż nad nimi rozległ się ryk i charkot, jakby stada gryzących się psów. Stało się to błyskawicznie: Niemcy zwalili się przed gajówkę. Biegli, wrzeszcząc, wymachując bronią, strzelając. Franciszek, który stał pochylony nad rannym, odruchowo rzucił się w tył. Potknął się i padł w krzaki, w gęsto zbity kłąb jaśminów. Był przekonany, że Niemcy go widzieli. Tymczasem, ze zdumieniem spostrzegł, że otoczyli Kamińskiego, rannego i dziewczynę, a nie rozglądają się nawet za nim. Krzyczeli ile sił; można by pomyśleć, że ten krzyk był im na coś potrzebny. Podrzucali głowami w hełmach, uderzali lufami w pierś schwytanych, trzęśli nad nimi rękami w zawiniętych rękawach, jakby ich chcieli rozedrzeć na sztuki. Inni strzelali na chybił trafił w las, w który zapadli żołnierze Franciszka.

Leżąc bez ruchu, patrzył na to, co miało nastąpić. Histeryczny krzyk Niemców ustał wreszcie. Między nimi pojawił się jakiś feldwebel. Podszedł do schwytanych. Znajdując się zaledwie o parę kroków, Franciszek słyszał wyraźnie, jak tamten pytał łamaną polszczyzną:

— Wy partizanty? Bolszewiki? Nie?

— Nie — zaskrzeczał Kamiński. Ale któryś z Niemców trzasnął go przez twarz, aż zakołysał się płot, na który upadło ciało. Franciszek poczuł ból, jak by to jego uderzyli: ból w twarzy i ból w dołku. Niemiec pytał znowu:

— No, gadać, gadać, prędko! Schnell! Partizanty?

Pojął, że jest uratowany. Niemcy byli tak zajęci tamtymi trojgiem, że mógł bez trudu, skorzystawszy z ich nieuwagi, wycofać się do lasu, albo nawet zostać w krzaku, mając pewność, że go poszukiwać nie będą. Nagły wstrząs, wywołany tak szybko następującymi wydarzeniami, zwolna ustępował. Mógł myśleć. Gdyby nie uderzenia, których Niemcy nie szczędzili tamtym, mógł nieomal na chłodno rozważać sytuację. Los trojga ludzi o parę kroków od niego obchodził go zresztą mało, o wiele mniej, niż los ludzi walczących, tam, za rzeką, ludzi, do których nie doszedł. Tych troje: paskarz, złodziej i prostytutka, znajdowało się poza kręgiem jego uczuć. Gdyby tylko nie widział, jak ich biją i szarpią...

— Was? — wrzeszczał Niemiec. — Gadać prędko, bo będzie kaput! Wy banditen? Nie? I ta dziewczyna partizanty?

Nie doszliśmy do Warszawy... — myślał. Nie zobaczę Ordona... Nagle uświadomił sobie, że od początku, tak gorąco przezwyciężając wszystkie opory, myślał o zobaczeniu jego. Czuł potrzebę dokończenia tamtej dyskusji. Franciszkowi w tej chwili nawet brzmiały w uszach słowa nocnego gościa: „nawet walcząc o to samo, będziemy od siebie zdala..." Wbrew temu pragnął, aby stało się inaczej. W szarości poranka, który stapiał ze sobą cienie i blaski, Franciszek pamiętał człowieka wyciągniętego na tapczanie. Tamten miał ręce podłożone pod głowę, twarz zwróconą w sufit. „Miłość, przyjaźń — mówił, jakby czytał zdanie wypisane nad sobą, — to uczucie najwyższe. Jakże mi jednak łatwo zatracić swój sens. Koleżeństwo, wspólnota w walce nie wiele znaczą. To są sprawy, które przychodzą same, jak jabłko, które spada pod nogi..."

Głośniejszy wrzask Niemców oderwał go od tych wspomnień. Bili znowu Kamińskiego, bo spośród ich chrapliwych porykiwań dobywał się jego skrzypiący głos. Przygryzł wargi. Zapragnął całą siłą wrócić do tamtej rozmowy i do tamtego człowieka. Lecz — już nie mógł. Coś się w nim nagle zerwało. Niechętnie, jakby się tłumacząc, szepnął: nie chciał iść, buntował ludzi, gadał mi impertynencje... Że „przerżnąłem wszystko w karty..." Tamte słowa wświdrowywały mu się w pamięć. Nie mógł ich zapomnieć, nie mógł ich darować, nie mógł im zaprzeczyć. Teraz wrzasnęła dziewczyna. Miał w oczach jej grube łydy, wciśnięte w różowe pończochy, kołyszące się niezdarnie na wysokim obcasie. Wreszcie zaskowyczał ranny. Niemcy cofnęli się. Mógł znowu zobaczyć tamtych troje. Szywicki leżał z dłonią przy ustach, dziewczyna siedziała obok na ziemi, płacząc; jej czerwona twarz była purpurowa, jak by ogarnięta gorączką. Kamiński także siedział, kiwając się żałośnie, jakby odprawiając jakieś wschodnie modły. Jeden z Niemców pozostał przy nich z bronią gotową do strzału. Reszta odeszła na bok; zapalali papierosy, sięgali do puszek z konserwami.

Zabiją ich — uświadomił sobie Franciszek. Ta myśl zrodziła się w nim na podłożu zupełnej obojętności. Lecz mimo to nie chciała daje odpłynąć, jak odpływają myśli pozbawione znaczenia. Uparcie tkwiła pod czaszką, odpędzając inne myśli. Począł się bronić: tylu zasłużonych ludzi ginie. Może właśnie w tej chwili. Wartościowych, wartościowszych... Wydało mu się, że dokonał odkrycia. Dotychczas szukał kontaktu z ludźmi. Sądził, że tak było trzeba skoro roztrwonił ich pieniądze. Ale krzyż domaga się więcej. Dać siebie temu, kto ten dar przyjmuje — i poganie tak czynią. Lecz dać siebie tym z którymi nic nas nie łączy... Dotknął dłonią czoła.. Szepnął w duchu: to jest tylko paskarz, złodziej i prostytutka...

Niemcy wyciągnęli się na trawie. Jedli konserwy, pili przyniesione skądciś mleko, palili. Felwebel rozmawiał z innym podoficerem. Tylko strażnik z peemem stał na rozkraczonych nogach, groźnie wpatrzony w więźniów. Dziewczyna przestała płakać. Otarła rękawem bluzki oczy i nos. Czując na sobie spojrzenia żołnierzy, obejmujące łakomie jej pełne piersi, uśmiechnęła się do nich zachęcająco. Kamiński kiwał się jak przedtem.

Poruszył się w swym krzaku. Świadomość idącej ku tamtym śmierci nie dawała mu spokoju. Czyż koniecznie ich jednak zabiją? — Bronił się. Od chwili gdy wybuchło powstanie jego uczestnicy mają przecież szansę by być traktowani jako strona walcząca. Nie uspokoiło go to jednak. O kogóż mi chodzi? — upierał się — o tych troje? Czyż warci są tego, by zrezygnować dla nich z programu życia?

Nagle zapragnął uciec z tego krzaka, zagłębić się w las, pójść za tamtymi, którzy uciekli. Zresztą wszystko jedno gdzie, byle dalej z tego miejsca, byle prędzej. Nie mógł znieść dłużej siedzenia bez ruchu. Począł się więc na rękach i kolanach wyczołgiwać z krzaka. Co parę ruchów zatrzymywał się, śledził Niemców. Ale oni zachowywali się obojętnie; rozmawiali ze sobą, grzebiąc nożami w puszkach. Można by pomyśleć: spracowani robotnicy w czasie odpoczynku.

Gąszcz jaśminów podchodził blisko do ściany lasu. Franciszek w miarę jak się oddalał, mógł się poruszać śmielej i szybciej. Kiedy jednak za kępą małych sosenek wstał, nie czuł ulgi, jaką przynosi przeminięcie ciężkiej próby. To ocalenie nic go nie kosztowało. Z miejsca gdzie się znajdował, widać było grupę więźniów. Przyszło mu do głowy, że patrzy na nich po raz ostatni. Zabiją ich... Zanim zagłębił się dalej w las, zatrzymał się raz jeszcze. Próżno chciał uciec od tej myśli. Towarzyszyła mu ona uparcie i nieustępliwie. Przesunął dłonią po spękanej korze wysokiej sosny. O cóż chodzi? Tak bardzo chciał odnaleźć znowu tamtego człowieka — jedynego człowieka, który mógł być jego przyjacielem... Jedynego człowieka... Dla tej przyjaźni nie było by trudno ofiarować życie. Tymczasem — uratował je! I to tak obrzydliwie łatwo...

Żywica polepiła mu palce. Aby je wytrzeć, sięgnął po chustkę. Nagle posłyszał ostry gwizdek. Poderwał się. Ale to gwizdał feldwebel na zbiórkę. Zrozumiał, że Niemcy za chwilę odejdą, a z ich odejście zniknie ostatnia groza niebezpieczeństwa.

Odruchowo zrobił krok z powrotem w stronę parkanu gajówki. Cóż ma za wartość — myślał, rzecz tak tanio zdobyta? Cóż ma za wartość jabłko znalezione na drodze? Cóż będzie miało za wartość ocalałe w ten sposób życie? Znowu zrobił krok. Jak to on powiedział? Na naszej drodze pioruny są miarą największej przygody... Dlaczego zastanawiam się? Bogu służyć można w rozmaity sposób: mieczem, krzyżowcami i kulami żonglera. Doznał mdłości, gdy Niemiec bił Kamińskiego. Ale ciągle nie czuł nic dla tamtego człowieka — nic poza niechęcią, jaką budzi słowo paskarz. Nie wiedział dlaczego pot mu wystąpił na czoło. Las szumiał nad nim; w tym dźwięku wydawało mu się, że słyszy nawoływanie Róży, synów, Ordona, zasuszonego księdza z kościółka na Saint-Houvre... To było życie, przyszłość, miłość, przyjaźń, droga... Śpiesznie zawrócił w stronę lasu. Lecz w tej chwili zgrzyt niemieckiej komendy zatrzymał go w miejscu. Tamci odliczali: „eins, zwei, drei, vier..." Głosy spadały rytmiczną kaskadą, niby potężnie wykrzykiwana modlitwa. Właśnie, wbrew wszystkiemu, przypomniały mu modlitwę! Prędkie odpowiedzi ministrantów: „Et salutare Tuum da nobis... Et

clamor meus ad Te veniat... Et cum spiritu Tuo..." Łacińskie teksty zapalały się przed nim jak błyskawice.

„...Spiritu Tuo — pomyślał. Przecież chciał służyć Bogu, przecież tak ustawił swoje życie. A przecież na tej najlepszej z dróg padł piorun. Czy więc źle służyłem? Czy trzeba było inaczej? Dla kogoż dziś zmieniać plan? Dla złodzieja, paskarza, prostytutki?

Mimo to ruszył w stronę krzaków jaśminu. Jeszcze ostatni raz, mijając grupę sosenek, powiedział do siebie: to nie byli towarzysze, jak tamci... Lecz Bóg dał się ukrzyżować za takich jak oni. Tamten mówi: „Jesteśmy na drodze, która nie wiadomo nigdy gdzie nas zaprowadzi, w jaką awanturę nas wplącze..."

Nie zatrzymywał się już. Rozgarniał prędko gałęzie. Doleciał go krzyk: „rechts!" Kolumna niemiecka robiła właśnie, twardy, metaliczny zwrot.

— Stehen Sie! — zawołał.

Oniemieli, kiedy stanął przed nimi i z nieskazitelnie wiedeńskim akcentem powiedział:

— To ja walczyłem z wami. Tych zostawcie...

Przez chwilę żaden z Niemców nie ruszył się z miejsca. A jeżeli omyliłem się — zapaliło się w nim jak błyskawica. — Jeżeli wybrałem źle? Nagle wszyscy poczęli wrzeszczeć. Biegli ku niemu, wymachując bronią. Jeden z nich uderzył go z rozmachem w twarz kolbą. Przyjął ten cios jak błogosławieństwo. Jak ostry kamień pod głową na drodze do Damaszku.*)

Jan Dobraczyński

luty — maj 1949 r.

*) Powyższa nowela poświęcona Teresie i Jerzemu Hagmajerom jest jedną ze Zbiorku pod ogólnym tytułem „Najwyższa Miłość", który ukazuje się jednocześnie nakładem Z. Gustowskiego w Poznaniu.

TYDZIEŃ KULTURALNY

CHARLES PEGUY

W styczniu 1900 roku poczęły ukazywać się we Francji sławne „Cahiers de la Quinzaine" — założone i redagowane przez Charles'a Peguy, myśliciela i pisarza, który poległ w 1914 roku na froncie. „Zeszyty" Peguy'ego były swego rodzaju rewelacją — ich redaktor bowiem był przed 50 laty jednym z niewielu katolików, który opowiadał się za koniecznością udziału Kościoła po stronie narastającego podówczas socjalizmu. Socjalizm Peugy'ego różnił się od Marksa — był pozbawiony pierwiastka walki klasowej i odmienny w poglądach na metody walki rewolucyjnej „La revolution sera morale ou elle ne sera pas" było dewizą Peguy'a. Peguy był zwalczany ostro przez konserwatywnych katolików francuskich z lat dziewięćsetnych. Cóż nawet ośmielił się bronić Drefusa. Dziś cały francuski ruch postępowo - katolicki korzeniami swymi sięga też redaktora „Cahiers de la quinzaine", których 50 rocznicę założenia właśnie obchodzili postępowi katolicy w styczniu. O Karolu Peguy'm napiszemy niebawem i szeroko, choć doświadczenia półwiecza udowodniły nam, że w praktycznych wnioskach społeczno - politycznych rację mieli raczej marksiści niż ich przeciwnicy. Aktualne jednak pozostaje — jak lampa wskazująca kierunek marszu w ciemności — jego postawa wobec życia i aktualnie brzmią ciągle jego wskazania o konieczności zachowania moralności chrześcijańskiej w rewolucyjnym przewrocie.

COLLEGIUM MAIUS

Sejm RP uchwalił kwotę złotych 300.000.000, która w ramach planu 6 letniego zostanie wydatkowana na odnowienie starego gmachu w Krakowie, tzw. Collegium Maius, jednego z najcenniejszych zabytków architektury gotyckiej (1400 r.) Do lat wojny mieściła się tam Biblioteka Jagiellońska.

KONIEC ROKU (MICKIEWICZOWSKIEGO)

„8 stycznia 1950 r. w całym kraju odbyły się uroczystości zakończenia Roku Mickiewiczowskiego. Uroczystości odbyły się przy akompaniamencie prześladowań Polaków przez rząd francuski, jakby dla jeszcze dobitniejszego upamiętnienia, że emigracja Mickiewiczowska też lekką nie była i wielki Poeta nie raz, nie dwa razy potykał się osro z francuską policją, kóra jednak jak wszędzie na świecie — z latami stała się brutalniejszą i mniej ludzką. Kulminacyjnym punktem uroczystości było powtórne odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie, zniszczonego przez Niemców, odbudowanego obecnie. Na wielkiej uroczystości obecni byli delegaci cudzoziemskich kół intelektualistów, manifestując w ten sposób kulturalną jedność postępowego świata. Najwspanialszym jednak pomnikiem wystawionym Mickiewiczowi jest suma egzemplarzy „Pana Tadeusza" które w rozmaitych powojennych nakładach dawno przekroczyła milion egzemplarzy (samo Narodowe Wydanie — I serii pism zbiorowych sprzedano w 1949 roku 125.000 egz., a ponadto edycje „Książki", M. Kota, kilkusettysięczne biblioteki „Trybuny Wolności" (Przed wojną od 1919 do 1939 — 14 wydawnictw ogólnie biorąc wydało 146.950 egz. dzieł Mickiewicza i ta ilość tu zawiera tak „Pana Tadeusza" jak inne pozycje jak „Dziady" itp.

SZEREG KONKURSÓW

Rozpękła się bania konkursów literackich: zamknięty na sztukę współczesną, zamknięty na współczesną powieść dla gazetowego odcinka zamknięty i na nowelkę filmową, jako podstawę scenariusza. Gdzieś koło półrocza zaczniemy się dowiadywać werdyktów jury. One nam pokażą jak dalece współcześni pisarze rozumieją rzeczywistość, w której żyją. Choć doświadczenia uczą, że najlepsze dzieła powstają poza konkursami, konkursy są jednak dopingiem.

ROK ZACZĘTY

W styczniu 1800 roku urodził się Balzak. W styczniu 1950 roku rozpoczynamy jego Rok Jubileuszowy. Na zachodzie Europy w roku ubiegłym świętowano 100 lecie śmierci, wobec mnogości naszych własnych „jubileuszy" w 1949 — Rok Balzakowski obchodzimy w 1950. Ukazują się stale nowe wydania powieści Balzaka i one powinny dać asumpt krytykom katolickim do generalnego zrewidowania tej całej krzywdzącej opinii, którą część kleru zasugerowała ogółowi czytelników katolickich, a według której Balzak, ten piewca moralności chrześcijańskiej, jako siły zdolnej zapobiec rozkładowi moralnemu sprawianemu przez wczesny kapitalizm, ten Balzak ma być pisarzem niemoralnym. Trudno o bardziej bałamutną ocenę. No i bardziej szkodliwą dla całokształtu kultury katolickich czytelników.

Sp. wyd. „Pax", Inst. Wyd. wysyła

G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM SZATANA
cena 950 zł

B. MARSCHALL
CHWAŁA CORY KRÓLEWSKIEJ
cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTÓW
„OJCZE NASZ"
K. WRÓBLEWSKIEJ
cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO
I-8515
SP. WYD. „PAX" INST. WYD.

Z. Prószyński

CZY REKONSTRUKCJA?

W n-rze 49 (247) „Tygodnika Powszechnego" p. Paweł Jasienica wystąpił przeciwko rekonstrukcji zburzonych zabyków architektonicznych, przy czym użył ironicznego określenia, że jest to „budowa zabytków na nowo". Następnie dodał, że „budowla, zachowująca kształt ściśle zabytkowy, lecz wzniesiona w połowie XX wieku, zawsze po trosze przypominać będzie tekturową makietę. Może dopiero z biegiem lat deszcz, śnieg, mróz... nadadzą jej prawdziwy indygenat".

Sprawa ma zasadnicze znaczenie dla naszego społeczeństwa, bo jak Polska długa i szeroka — w Warszawie, w Gdańsku, w Szczecinie, we Wrocławiu i wielu innych miastach, odbudowuje się obecnie setki budowli zabytkowych, zgruzowanych w czasie ostatniej wojny. Wobec powyższego powstaje pytanie, czy przyszłe pokolenia mają znać wszystkie te zabytki jedynie z książek i z lepszych, lub gorszych fotografii?

Uważam, że powyższe zagadnienie winno być możliwie gruntownie i wszechstronnie przedyskutowane, aby uniknąć pomyłek, które się już później nigdy nie dadzą naprawić. Na szczęście ostatnie cztery lata dały nam nader cenne doświadczenia, dzięki którym nie potrzebujemy kroczyć po omacku.

Ustalmy przede wszystkim społeczną wartość zrekonstruowanych zabytków. Jest rzeczą oczywistą, że nie wrócimy im autentyczności, ale możemy im przywrócić — ich piękno. Jak wiadomo obecna nauka i technika potrafi odtworzyć zabytki z taką wiernością i dokładnością, łącznie z tzw. „patyną wieków", że nawet specjaliści są często wprowadzeni w błąd. Jeśli takie wypadki zdarzają się dyrektorom muzeów zagranicznych, którzy w obronie falsyfikatów pisali obszerne elaboraty, to cóż mówić o laikach?

Jest rzeczą oczywistą, że wybitne walory artystyczne, mimo braku autentyzmu pozostają bez zmiany, i to ma kolosalne znaczenie społeczne. Jeśli ktokolwiek ma pod tym względem wątpliwości, to mu radzę, ażeby się udał w Warszawie na ul. Miodową i obejrzał, przepięknie odtworzony, pałacyk Małachowskich. Zobaczymy, czy wtedy orzeknie że rekonstrukcję mogłaby zastąpić — zwykła gablotka z fotografią autentyku. Miasa polskie pozbawione sylwetek swych najbardziej charaktery stycznych budowli stałyby się innymi miastami. Czy Kraków bez kościoła Mariackiego i Sukiennic byłby tym samym Krakowem? Czy w razie jakiegoś kataklizmu, społeczeństwo polskie nie przystąpiłoby do bezwłocznej rekonstrukcji?

Trzeba się przyznać, że w naszej dotychczasowej pogoni za autentycznością było dużo snobizmu. Istotną rzeczą jest przeżycie artystyczne u widza oraz moment pedagogiczny — obraz sztuki w dawnych wiekach. Osobiście wolę dobrą kopię antycznego arcydzieła, od marnego, wątpliwej artystycznej wartości, współczesnego oryginału. Należy jednak podkreślić, że ostatnia wojna dużo wartości przeszacowała i także pod tym względem zlikwidowała pewne przerosty. Oczywiście, jak najbardziej doceniam, tam gdzie to jest możliwe, znaczenie autentyczności.

Istnieje także pytanie, co jest bliższe pierwotnemu oryginałowi? Czy rekonstrukcja odwarzająca możliwie wiernie pierwotny kształt zabytku, czy też oryginał zniekształcony wciągu wieków, nieustannymi przeróbkami? Katedra w Poznaniu jest bardzo pouczającym przykładem.

Współczesna rekonstrukcja jest zresztą całkowicie różną, od pseudonaukowej metody stosowanej przez Niemców w Malborgu czy Poznaniu, będącej jedynie dowolną fantazją na tematy historyczne. Obecnie jest ona dokonywana z największą precyzją i dokładnością. Jest dziełem wielkiego umiłowania przeszłości, głębokiej wiedzy i zadziwiającej pracowitości. Podstawą są ścisłe pomiary, fotografie, rysunki, a przede wszystkim jak najpełniej wykorzystane, wszelkie ocalałe fragmenty. W starych budowlach rzeźba w kamieniu odgrywała dużą rolę zdobniczą, to też ilość odnajdywanych ułamków, pozwalających na odtworzenie większych całości jest stosunkowo b znaczna. Wszystkie one stają się dzięki rekonstrukcji zabytku jego organicznymi, niejako żywymi częściami, bez niej byłyby stosem, luźnych oderwanych od całości fragmentów.

Umyślnie szerzej te sprawy omówiłem, aby wykazać, że porównanie tej mozolnej pracy, wykonywanej przez uczonych polskich — do tekturowej makiety, — jest doprawdy krzywdzące.

Mając duże uznanie dla p. Jasienicy, jako zdolnego publicysty, nie mogę również się zgodzić z jego wywodami odnośnie Katedry Św. Jana w Warszawie. Sprawa w praktyce jest oczywiście przesądzona, ale p. Jasienica **domaga się** omówienia jej z teoretycznego punktu widzenia. Przy czym występuje z całkowicie nieoczekiwanymi argumentami i wnioskami.

Czy naprawdę jest to „decyzja arcy słuszna", że Katedra nie wróci do swoich kształtów sprzed powstania 1944 r.? P. Jasienica powołuje się na „argument", że przeminie jeszcze kilkadziesiąt marnych lat i w stolicy nie będzie już nikogo, ktoby pamiętał jej przedwojenny wygląd" Dalej cieszy się, że listy warszawiaków, protestujących przeciwko zmianie frontu katedry, wrzucono do kosza. Czy naprawdę sentyment warszawiaków do ich ukochanej katedry na taką reakcję zasługiwał?

Sprawa zresztą nie jest ani tak prosta, ani tak oczywista. Trzeba przyznać, że jak dotąd to Warszawiacy okazywali dużo zdrowego instynktu i rozsądku, broniąc swoje zabytki przed różnymi reformatorami. Była to nader wyjątkowa dziedzina, w której przysłowie: Vox populi — vox Dei", miało swe b. częste zastosowanie. Przykład — pomnik Mickiewicza. Dzięki niedyskrecji prasy, podniesiono larum i na Krakowskim Przedmieściu stanie może mniej oryginalny od projektu Kuny, ale za to bardziej harmonizujący z otoczeniem i drogi sercu Warszawy, pomnik.

P. Jasienica, o ile wiem, jest wilnianinem, mieszka w Krakowie i dla tego prawdopodobnie nie wie czem dla Warszawy były wieże dawnej Katedry. Prawda, że zostały wybudowane sto lat temu. Nie jest to okres zbyt długi. Ale takimi je znało pokolenie Traugutta, Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Or-ota, Żeromskiego i... nasze, które przecież tyle ofiar w obronie murów Warszawy złożyło. Właśnie w czasie tych stu lat urosła i spotężniała Warszawa, jest nie tylko stolicą, ale i... sercem Polski.

Najpiękniejsza panorama Warszawy, była od strony Wisły, a jej najbardziej charakterystycznym akcentem była kolumna Zygmunta, sylwetka Zamku Królewskiego i... wieże Katedry.

Najwierniej o nich napisał Or-Ot:

„Stare Miasto. U wschodu czuwa,
jak na straży,
Kościół Farny, i dzwonów srebrną
mową gwarzy.
W toń obloków wystrzela smukłych
wieżyc szczytem.
Jakby sojusz braterski zawarł
z nieb błękitem,
Jakby do tronu Boga słał
modlitwy ludu".

Dziś Katedra już nie będzie miała swych strzelistych wież. Nie będzie także miała swego dawnego pięknego frontonu. Wprawdzie był to gotyk angielski i pochodził z 1840 r., ale był chyba najpiękniejszym przykładem angielskiego gotyku w Polsce. Była to wspaniała harmonia symetrii, powagi i strzelistości. Architekt Idźkowski dał w swoim dziele świetnie odczutą syntezę gotyku.

Katedra Warszawska była równie droga dla naszej Stolicy, jak bazylika Św. Wojciecha dla Gniezna, Kościół Mariacki dla Krakowa, mimo, że ustępowała im starożytnością.

Obecnie „katedra wzniesiona zostanie na obraz i podobieństwo wrocławskiego kościoła św. Doroty? Dla-

(dokończenie na str. 12-tej).

Czytelnik uważa, że...

DO RED. TYG. „DZIŚ I JUTRO“

Do dyskusji na temat sztuki religijnej między p. Odrowążem-Pieniążkiem i p. Jakimiakiem zaplątało się moje nazwisko. Jeden argumentuje definicją piękna, zaczerpniętą z mojej książki **Poezja jako wyraz**, a drugi ją zwalcza. Co do mnie nazupełniej podzielam „głębiny wątpliwości“, jakie żywi p. Jakimiak w stosunku do zdania: „Piękno jest stosunkiem całkowitej zgodności wyrazu z wyrażoną treścią', ale proszę go zarazem, żeby przypomniał sobie odwieczną prawdę filologiczną o właściwym znaczeniu, jakiego nabiera każde zdanie w związku ze swoim kontekstem. Jeśli więc znajdzie trochę wolnego czasu, żeby przeczytać wywody na str. 18 — 29 mojej książki, przekona się, że zacytowane zdanie jest definicją tymczasową, którą poddaję dalszej analizie, aby dojść do sformułowań wyrażających moją myśl w sposób bardziej wierny i dokładny.

Konrad Górski

JESZCZE O REALIŹMIE GOŁUBIEWA

W n-rze 3 (217) Redakcja zamieściła list p. A. B. Autor, po gładkich komplementach pod adresem „Bolesława Chrobrego“, wysuwa zarzut rzekomej, zbytniej drastyczności, tym razem w opisie bitwy, który, jak pisze, „pozostawił uczucie — lekko mówiąc — niesmaku“. Mnie też pozostawił on uczucie — lekko mówiąc — niesmaku, przy równoczesnej pełnej satysfakcji kontaktu z pierwszorzędną robotą literacką. Co robić, pisarz „wymierzając najwyższą sprawiedliwość widzialnemu światu“ nie może ukazywać tylko jednej, lepszej jego strony, oblewać całość słodkawo - mdłym lukrem przemilczania czy zakłamania. Obie praktyki byłyby oczywistym fałszem. Życie jest różnolite — barwne, bujne, wielopłaszczyznowe, przepojone miłością i nienawiścią, miękkością i okrucieństwem, obok świętego żyje zbrodniarz, w każdym człowieku mieszka nikczemność i szlachetność, wielkość i upadek, dobro i zło — pokazać to, uchwycić w kształt dzieła, zamknąć w czarodziej stwo słowa, tak aby czytelnik „nie tylko czytał, ale widział i słyszał poszczególne sceny“ — oto ambitne zadanie pisarza — humanisty. Pokazanie tego co jest, w proporcjach odpowiadających rzeczywistości, nie jest sprzeczne ani z humanistycznym widzeniem świata, ani z najbardziej ortodoksyjnym katolicyzmem. Wszystko bowiem pochodzi od Boga, jest jego dziełem Dlatego pisarz może i powinien ukazywać całą wielkość i różnopłaszczyznowość rzeczywistości z drapieżną, bezwzględną odkrywczością i śmiałością, nie oglądając się na przeczulenia i osobiste urazy niektórych czytelników. Pod tym względem nie tylko Gołubiew jest w najzupełniejszym porządku, ale i świetnemu „Sprzysiężeniu“ Kisielewskiego nie można postawić żadnego zarzutu. Pisarz — moim zdaniem — nie ma zgoła obowiązku przyklejania do każdego konfliktu czy zdarzenia komentarza moralizatorskiego, etykietki „dobre“ lub „złe“ — tak jak nie przykleja jej życie, lecz jedynie zmysł moralny obserwatora zdarzeń, zmysł, który przecież, u licha, nie ginie i u czytelnika, skądże więc biorą się te bzdury o aberacjach moralnych, rzetelnych, relacjonujących opisów służących przedstawieniu **prawdy**, pozbawionych cienia autorskiego komentarza? (Nb. ileż dyskretnego i jednoznacznego osądzania faktów jest w książce Gołubiewa). Jestem głęboko przekonany, że w czasch Chrobrego ludzie zarzynali się tak jak to opisuje Gołubiew, a czy zarzynanie jest dobre czy złe niech osądzi czytelnik, który przecież różni się czymś od Bolesławowych wojów. Cienia podstaw pozbawiona jest opinia autora listu, że „Cały ten urywek, podany ku chwale polskiego oręża, sugeruje, że to tak właśnie być powinno“. Pozbawiona jest dlatego, że urywek ten, owszem, sugeruje — ale coś wręcz przeciwnego. Z braku miejsca nie przytaczam dowodów. Znajdzie je sam p. A. B. jeśli jeszcze raz, spokojnie i na chłodno, przeczyta opis bitwy. Autor listu pyta: „...czy słuszne jest, aby będąc obdarzonym niezaprzeczenie wielkim talentem, wykorzystywać go m.in. dla pochwalania ludzkiej zwierzęcości?“

Odpowiadam: Absolutnie nie! Nie tylko nie jest to słusznym, ale jest wręcz niemoralnym. Lecz — konia z rzędem temu, kto pochwałę taką znajdzie w książce Gołubiewa!

J. P. G.

POCZWARTKOWE UWAGI

Czwartki literackie organizowane w Poznaniu przez Zw. Literatów cieszą się wśród społeczeństwa zasłużonym powodzeniem. Żywe słowo wypowiadane przez pisarza, bezsprzecznie sugestywniej działa niż drukowane, toteż sala w Starym Ratuszu, co tydzień zapełnia się niemal całkowicie miłośnikami literatury, pragnącymi poprzez wysłuchiwanie prelekcyj głębiej wniknąć w nurt życia literackiego, zrozumieć jego przejawy i prawa. Ilość kibiców literatury jest wprawdzie przerażająco mała w stosunku do liczby kibiców takiego np. boksu, ale nikogo to zbytnio nie martwi, wiadomo bowiem, że cios jeszcze sugestywniej działa niż słowo.

Martwić natomiast może inne zjawisko. Oto na czwartkach literackich uderza znikoma obecność młodzieży akademickiej, studiującej humanistykę. Jest to tym dziwniejsze, że właśnie ta młodzież powinna się najżywiej interesować zagadnieniami literatury, ona powinna stanowić gros uczestników popularnych czwartków. Był ostatnio w Poznaniu Zawieyski, był Matuszewski, Dygat i inni. Zagadnienia poruszane przez nich (vide artykuł Paukszty w noworocznym numerze „Dziś i Jutro“: „Bilans nawet optymistyczny“) są ciekawe, pasjonujące każdego, kto poprzez oczytanie wypracował sobie własny klucz do rozumienia literatury. Czyżby młodzież studiująca w Poznaniu polonistykę takiego klucza jeszcze nie posiadała?

O ile się nie mylę, czwartki literackie pomyślane są jako imprezy kulturalne, mające na celu zjednanie przede wszystkim młodzieży dla spraw literatury. Starsze panie tworzyć jej nie będą. Tworzyć ją ma młodzież polonistyczna. A tymczasem na czwartkach widzimy wiele starszych pań, wiele młodzieży gimnazjalnej, mało natomiast przyszłych literatów, profesorów literatury itp. Zjawisko co najmniej dziwne. Chyba młodzież nie uważa, że metoda „wkuwania“ literatury jest wyższa od czerpania jej niejako z pierwszych rąk (czyt. z pierwszych ust) od jej krytyków i twórców. Takie mniemanie jest błędne, co od dawna jest już truizmem.

Tadeusz Haluch

CIEKAWA KSIĄŻKA

Szanowna Redakcjo!

Usilnie proszę o zamieszczenie załączonej recenzji pt.: „Ciekawa Książka“ na łamch cennego czasopisma „Dziś i Jutro“.

Chodzi o coś więcej. niż o zwykłą ocenę literacką: autor nagrodzony kiedyś I odznaczeniem na konkursie na najlepszą powieść dla młodzieży („Jak Zbyłut Został Rycerzem“), napisał tym razem książkę poruszającą niezwykle aktualne dziś problemy wychowawcze: Jego utwór „Niedźwiedzica Getka“, jest pod tym względem bojowym: jak wychowywać „Jak daleko jest uprawnioną surowość wychowawcy wobec ucznia? Jaki ma być stosunek duchowieństwa do wychowania?“ itd. itd.

Trzeba mieć odwagę cywilną, aby w dzisiejszych czasach, pochodząc z obozu katolickiego, napisać taką rzecz, jak „Niedźwiedzica Getka“ i w dodatku opatrzyć ją tytułem: „dla młodzieży“.

Przyznaję: autora znam osobiście. Jest On gorącym katolikiem, zaś, jeśli chodzi o problemy społeczne, jest postępowym.

Wśród powodzi powieści dla młodzieży nie często udaje się wyłowić taką, którąby posiadła dwie cechy: była ciekawą a równocześnie — pouczającą.

Powieść historyczna, która wyszła spod pióra Stanisława Wilczyńskiego pod tytułem: „Niedźwiedzica Getka“, nakładem Warszawskiej Spółki Wydawniczej Syrena (Skład Główny: Gebethner i Wolff w Warszawie), posiada właśnie obie te cechy.

Początek wieku XIV to okres panowania w wychowaniu klasztornym w Polsce surowego systemu pedagogicznego, pochodzącego z zachodu. Ciało młodzieży umartwiano przez ascetyczny żywot, w wielu szkołach klasztornych karmiono wyłącznie jarzynami i potrawami z mąki. Mięso podawano tylko 4 razy do roku, żywiono skąpo.

Kary stosowano następujące: chłosta rózgami maczanymi w wodzie, kara „Słupka“, czyli wieszanie za ręce związane ponad głową. Tortura ta, którą najwytrzymalsi mogli znieść bez utraty przytomności przez czas do dwóch godzin, stosowaną była także wobec mniejszych przestępców w prawie karnym. Majestas Carolina, (w Austrii, zniesioną została dopiero przez cesarzową Marię Teresę, wznowioną była wobec krnąbrnych żołnierzy w wojsku austriackim w czasie wojny 1914 — 1918 r.). Dalszą karą, lżejszą, wobec uczniów średniowiecza było zamykanie w karcerze klasztornym z obostrzeniami w miarę rozmiarów przestępstwa: ciemnicą, łożem kamiennym, głodówką.

Czas trwania kary utraty wolności: najkrócej od wschodu do zachodu słońca. Upomnienia i nagany nie uważano za karę.

Przestępstwami uczniowskimi były: nienauczenie się zadanej lekcji, krnąbrna odpowiedź nauczycielowi, zachowanie się lekceważące wobec nauczyciela, słowa obelżywe, wypowiedziane przez ucznia do nauczyciela, czyn gwałtowny fizyczny, jak uderzenie, pchnięcie nauczyciela przez ucznia, a także... plotki uwłaczające czci nauczyciela, szerzone przez ucznia.

Wymienione kary uważano za pedagogiczne wobec uczniów w wieku od lat 10 i więcej.

Wychowawca wtedy tylko mógł być pociąganym do odpowiedzialności dyscyplinarnej przez swą władzą przełożoną za nadużycie władzy nad uczniem, gdy złamał wychowankowi kość, zerwał mięsień, spowodował ranę. Zwykłe sińce, krwawe pręgi na ciele nie są oczywiście ranami.

Jeżeli dodamy do tego, że ówczesne metody nauczania nie były takie, jak dzisiejsze, że przeciwnie niektórych metod dzisiejszych nie znano jeszcze, że na przykład nauka sylabizowania przez „głosowanie“ używana dzisiaj w całym cywilizowanym świecie, została wynalezioną dopiero trzysta lat później przez jansenistów, że więc uczeń uczył się najpierw nazw liter: be, ce, ygrek. w następnym roku składał litery, uczył się czytać, zmuszając siebie do zapomnienia, czego się uczył w pierwszym roku nauki czytania (że na przykład słowo: p a t e r składa się z liter: „pyatery‘ i t a k brzmi w uchu ucznia) — to zrozumie my całą mękę średniowiecznego ucznia, wielki jego zapał do nauki. A gdy weźmiemy pod uwagę, że nauka nie odbywała się w języku ojczystym ucznia, lecz w uniwersalnym (łacinie i to nie klasycznej), p o d z i w nas ogarnia, że młodociany organizm potrafił te męki przetrwać

Autor poświęca swój utwór: „leniwym uczniom XX wieku, którzy uczyć się nie mają ochoty“.

Z opisanym, ponurym systemem wychowawczym, germańskim, nie wygrał bardzo krótkiego starcia, słoneczny, pogodny system romański, propagowany od roku 1112 przez opata Guilbert.

Utwór „Niedźwiedzica Getka“ opatrzony jest obszernymi przypisami objaśniającymi czytelnika. Zwykle są to cytaty, lub streszczenia dotyczących ustępów dzieł naukowych, z których autor czerpał dane wiadomości.

W ten sposób czytelnik może kontrolować tekst literacki z wynikami badań naukowych.

Nie potrzeba dodawać, że szkoły klasztorne miały charakter wyłącznie stanowy, klasowy, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli: przyjmowano do nich wyłącznie synów chłopskich i synów mieszkańców podgrodzi, (później w miarę powstawania miast — synów mieszczan).

Autor zręcznie podmalowuje tło polityczne epoki: są to czasy Władysława Łokietka: na północny Zakon Krzyżacki na zachodzie Brandenburgia od południa zagraża nam Jan Luksemburski, który zajmuje Śląsk. Łokietek, prowadzi wojnę z Zakonem, którą dzisiaj — w wielu jej okresach — nazwalibyśmy partyzancką.

Na ziemiach polskich po osadnictwie flamandzkim („Olendry“) z a c z y n a się osadnictwo zachodnio - germańskie. Stan duchowy roi się od przedstawicieli głównie Sasów. Jest to pokojowy podbój ziem polskich przez żywioł germański. Narodu polskiego — w ścisłym znaczeniu słowa — jeszcze nie było.

Przeciwko temu podbojowi, o ile chodzi o teren szkół klasztornych bezskutecznie — walczy jeden z twórców przyszłej państwowości polskiej i kultury polskiej: Jakób Swinka. Instrumentem w jego ręku są Synody Łęczyckie.

W takich to czasach rodzice ze stanu rycerskiego oddają 9-letniego Getka do szkoły klasztornej na Śląsku. W rodzie jest z tego powodu dużo wątpliwości. Chłopiec trafił początkowo na wychowawcę — zwolennika słonecznego systemu romańskiego, później dostaje się pod władzę wychowawcy saskiego, na własnej skórze dosłownie zapoznaje się z mękami systemu germańskiego. W młodym powstaje bunt, uczeń ucieka do lasu ze swą ulubienicą, Karusią, niedźwiedziczką.

Opisy przygód w tajemniczej puszczy śląskiej i wielkopolskiej, bohaterskiej walki z drapieżnym rysiem, to najpiękniejsze ustępy tej pouczającej książki.

O dziwo! Wszystko to podane w formie lekkiego opowiadania, jakby od niechcenia, w całej książce nie ma nic, coby mogło urazić delikatność uczuć młodego czytelnika! Dopiero z treści przypisów widać, ile studiów, ile pracy i wiedzy włożył autor w swój utwór pisany nie piórem zasuszonego uczonego, ale miłością dla młodego pokolenia.

Książkę polecić można każdemu młodzieńcowi w wieku od lat 12, zdradzającemu zamiłowania humanistyczne.

Ale i robotnik i chłop, czy inteligent, z przyjemnością weźmie utwór do ręki; pedagog zaduma się nad niejedną kartą tej dziwnej książki.

Olga Sławinek

Czy rekonstrukcja?

(dokończenie ze str. 11-tej)

czego? Jak tak dalej pójdzie to w innym mieście zacznie się budować kopię krakowskiego kościoła Mariackiego, albo jeszcze lepiej paryskiej „Notre Dame“.

P. Jasienicy, zawziętemu wrogowi rekonstrukcji przedwojennej Katedry, jednak to wszystko nie wystarcza i twierdzi, że należało budować... „Kościół zupełnie nowoczesny“, aby był „świadectwem pobożności katolików XX wieku“. Jak się okazuje, są historycy, którzy mają fantazję nie tyle artystyczną, co jakby powiedział Zagłoba — „kawalerską“.

P. Jasienica myśl swą dalej uzasadnia, że gotyk był wyrazem pobożności wieków średnich i wobec powyższego Katedra winna być wzniesiona w stylu współczesnym, będącym wyrazem naszej religijności. Zwolennikom gotyku każe jeździć do Torunia, zapowiadając, że przy rozwoju komunikacji będzie to omal przedmieście Warszawy.

Pomijam milczeniem, że na razie jedzie się do Torunia koleją — 5 godzin. Bardzo jednak jestem ciekawy w jaki sposób możnaby połączyć XX-wieczny, nowoczesny styl, proponowanej przez p. Jasienicę, Katedry z jej staromiejskim otoczeniem. Przecież Stare Miasto, z woli i wysiłku całego Narodu, ma być rezerwatem naszej przeszłości. Sam p. Jasienica nie dawno na temat odbudowy starowarszawskich kamieniczek pisał entuzjastyczny artykuł.

Należy także pamiętać, że eksperymenty w nowoczesnym budownictwie kościelnym nie dały doychczas zadawalniających rezultatów. Współczesnej architekturze dominuje linia pozioma, co w konsekwencji prowadzi do takiej, czy inne kombinacji prostokątnych pudełek. Tego rodzaju kościół byłby na „Starym Mieście“ absurdalnym dysonansem.

Oczywiście, że musimy nieustannie szukać nowych dróg w architekturze. Tylko, że obiektem tych eksperymentów nie może być Katedra Św. Jana, ale kościoły nowopowstających dzielnic Warszawy, np. kilka tygodni temu erygowana przez J. E. księdza Prymasa, nowa parafia na Żoliborzu.

Katedra warszawska będzie nadal gotycką. W tym stylu zbudowały ją wieki i taką ją chce mieć cała Polska.

Nowa, wielka, monumentalna sztuka religijna nie powstaje z dnia na dzień.

Z. Prószyński

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

PROLEGOMENA

do

NOWEGO TESTAMENTU

O P O L E 1 9 4 9.

Autor w książce tej zamierza pomóc czytelnikowi Nowego Testamentu w rozwikłaniu trudności związanych z interpretacją tekstu biblijnego. Nie pomija też niczego, co by mu to zadanie ułatwiło. Ale czyni to w sposób osobliwy. Ewangeliści, św. Paweł, Apostołowie przesuwają się kolejno przed naszymi oczyma, każdy z napisanymi przez siebie księgami. Jest ich wiele (27), a przecież wszystkie one do jednego zmierzają celu... Autor usiłuje odnaleźć tę bogatą różnorodność jednej myśli, zogniskowanej w postaci Chrystusa i Jego dziele Odkupienia.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Prenumerata miesięczna 30 złotych Kwartalna 180 złotych

B-100001